



NR 14 (702)

GAZETA CZASOPISMO REGIONALNE BIESZCZADZKA

www.bieszczadzka24.pl

ROK XXX 7. 08. 2020 r. 3,00 zł (w tym VAT 5%) ISSN 1231-9333 INDEKS 323659 Nakład 1600 egz.

Baligród - Cisna - Czarna - Komańcza - Lesko - Lutówka - Olszanica - Solina - Ustrzyki Dolne

Zawiłe losy Pani na Ustrzykach



Czytaj str. 8-9

W Bieszczadach od początku wakacji nieprzebrane tłumy. Około godziny 10 brakuje już miejsc postojowych na parkingach w górach i nad jeziorem. A może być jeszcze tłoczniej

Przyjezdni wirusa się nie boją



Tłumy turystów przed wejściem na szlak BdPN w Wołosatem, lipiec 2017 roku. W tym roku kolejki są jeszcze większe

Ponad pół tysiąca zakażeń dziennie świadczy o tym, że epidemia koronawirusa wcale nie zwalnia tempa. Mimo realnego zagrożenia zakażeniem, Bieszczady są pełne turystów. - Ludzie są złąkni spacerów,

świeżego powietrza i rozrywek. Chcą wykorzystać urlopy, bo zapowiada się, że jesienią zachorowań będzie jeszcze więcej i rząd może znów przywrócić ograniczenia – mówią właściciele kwater.

Koniec lipca w Polsce wiązał się z drastycznym wzrostem zakażeń koronawirusem SARS-CoV-2. Jak zauważają eksperci, Polacy coraz bardziej beztrudno podchodzą do epidemii – nie noszą maseczek w sklepach i nie zachowują odstępu. Szczególnie lekkomyślni stają się

podczas urlopu; swoim zachowaniem narażają siebie i innych.

Fot. Arch. BdPN

Bieszczady pękają w szwach

W tym roku ze względu na pandemię Polacy zostali w kraju i odkrywają uroki rodzimych zakątków.

Bieszczady, które w każde wakacje są popularnym miejscem odpoczynku, obecnie przeżywają jednak prawdziwy boom turystyczny. Mieszkańcy wielkich miast, którzy do tej pory byli zamknięci w domach, chcą odetchnąć świeżym powietrzem i odstresować się przed powrotem do pracy.

- W Bieszczadach spędzamy z rodziną dwa tygodnie, a nocujemy w domku w Wetlinie. Na kwaterze czujemy się bezpiecznie, bo nie musimy się z nikim spotykać. Inaczej jest, kiedy ruszamy w teren. Nie przypuszczałem, że będą tu takie tłumy – śmieje się warszawiak Antoni Krawczyk, który w tym roku zrezygnował z wypoczynku w Chorwacji. - Wciąż stoimy w kolejkach: w restauracjach, w sklepach, do budek biletowych w parku czy do toalet. Na parkingach brakuje wolnych miejsc, a na szlakach są setki turystów. Mimo wszystko cieszymy się, że udało nam się zarezerwować domek. Nasi znajomi nie mieli tyle szczęścia. Możemy przynajmniej na chwilę odpocząć od blokowiska. Tu inaczej się oddycha.

Jak informuje Bieszczadzki Park Narodowy, tylko w czerwcu na szlaki weszło o 15 procent więcej turystów niż w roku ubiegłym, łącznie odnotowano 69439 wizyt. Pełne są parkingi przy szlakach, a miejsc na nich brakuje już około godziny 10.

- Turyści nie zaglądną na strony internetowe parku i nie wiedzą, że bilety można kupować też przez Internet. Później mają pretensje, że nie ma wolnych miejsc, albo że muszą stać w długich kolejkach – mówi nam osoba pracująca w punkcie kasowym BdPN. - Najgorsze jest to, że nie noszą maseczek - ani stojąc w kolejkach, ani mijając się na parkingach. Zachowanie odstępu to czysta abstrakcja. Kiedy zwracamy im uwagę, ignorują nas i obrażają, a to nie jest nasze widzimisie, tylko przepis z sanepidu. Za ich nieprzestrzeganie grożą kary.

Wakacje wypełnione

Z tegorocznego sezonu zadowolona jest Adelina Antosz-Kunczewicz, właścicielka agroturystyki „Uroczysko” w Stężnicy koło Baligrodu. - Jak wybuchła epidemia, odwołyaliśmy rezerwacje. Wolalabym zwrócić pieniądze niż ryzykować zdrowiem rodziny i pracowników.

ciąg dalszy na s. 3

Przedsiębiorstwo Produkcyjno - Handlowe

DANKROS

100% WOOD PREMIUM QUALITY 100% ECO

PELLET DRZEWNY

- GWARANTOWANA WYSOKA JAKOŚĆ
- NISKA ZAWARTOŚĆ POPIOŁU
- PRODUKT PRZYJAZNY ŚRODOWISKU
- PAKOWANY W WORKI 15 KG LUB WORKI BIG BAG

EN plus A1 PL 023

Krościenko / 38-700 Ustrzyki Dolne www.dankros.com
tel / 13 461 14 69 dankros@dankros.com

FREZOWANIE ROZWIERCANIE KOMINÓW

Wkłady
żaro - kwaso
odporne
sprzedaż - montaż

+48 604 500 288

www.rozwiercaniekominow.pl

AUTOMATYCZNE UKŁADY NAWĘGLANIA

PODAJNIKI NA:
EKODROSZEK, MIAL, PELLET, GWIES.
OD 12KW DO 150 KW

+48 605 530 288



Botaniczne ciekawostki hrabiego Krasickiego

W Nadleśnictwach Baligród i Lesko można spotkać obce naszej florzę gatunki drzew, posadzone tu początkiem XX wieku przez dawnego właściciela, Augusta hr. Krasickiego. To m.in. daglezja, sosna wejmutka, sosna Banksa, sosna smółowa i kosodrzewina.

W leśnictwie Malinki (Nadleśnictwo Lesko) spotyka się niecodziennych rozmiarów wejmutki. To gatunek szybkorosnący, choć w naszych warunkach trapiiony chorobami. Na zdjęciach z okresu międzywojennego można zobaczyć, że drzewa te były wówczas już sporych rozmiarów.

Z kolei na terenie Nadleśnictwa Baligród, na stromym zboczu w granicach nieistniejącej dziś wsi Sukowate, przetrwało stanowisko kosodrzewiny, posadzonej niegdyś na stromym, osuwającym się zboczu.

- Na podstawie badań, przeprowadzonych przy pomocy świdra Presslera, wiek kosówki można oszacować na około sto lat, przy czym trzeba zaznaczyć, że pokrój krzewów wskazuje na ich pochodzenie z Alp, a nie z Karpat – mówi



Marcin Scelina przy sosnie smółkowej

Fot. Edward Marszałek

Marcin Scelina, botanik, leśniczy z Nadleśnictwa Baligród. - To jedynie tak stare stanowisko kosodrzewiny w lasach Podkarpacia. Na tymże miejscu można też napotkać okazy sosny smółowej, gatunku pochodzącego z Ameryki Północnej. To drzewo o tyle ciekawe, że należy do sosen trójigłowych, w odróżnieniu do dwuigłowej sosny zwyczajnej czy pięcioigłowej limby oraz wejmutki. Z jednej nasady u sosny smółowej wyrastają trzy igły. Co ciekawe drzewo to, jak sama nazwa wskazuje, obfituje w żywicę i charakteryzuje się dużą siłą przetrwania w trudnych warunkach. Uszkodzenia aparatu asymilacyjnego rekompensuje sobie wykształcaniem dodatkowych pędów bezpośrednio z pnia.

Na tym samym wzgórzu spotkać można dorodne okazy sosny wejmutki i Banksa, również pochodzących z Ameryki Północnej. Autor tych eksperymentów to August hr.

Krasicki, właściciel dóbr leskich, który w latach 1918-1927 piastował funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Leśnego (PTL). Krasicki był leśnikiem z wykształcenia, ukończył bowiem wydział leśny akademii w Tharandcie pod Dreznem. Był ochotnikiem legionistów i uczestnikiem wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku, awansując do stopnia rotmistrza i funkcji adiutanta dowódcy armii. Publikował w Roczniku Towarzystwa Dendrologicznego ciekawe artykuły o drzewach w Bieszczadach, jak również na łamach Sylwana, wydawanego przez PTL. W swych lasach wprowadzał innowacyjną gospodarkę, eksperymentując m.in. ze świerkiem – wyhodował odmianę tego gatunku, od jego nazwiska nazwaną *Picea crasiciana*.

Film na youtube <https://youtu.be/O4K0e-CvYSM>

EdM

Tak ma być, a potem się zobaczy

Półowa lata, szczyt sezonu turystycznego. Bieszczady są pełne ludzi. Szczelnie wypełniony jest też bałtycki brzeg, tłoczno w Tatrach, w Sudetach, na Mazurach. Od ponad miesiąca trwają wakacje, za trzy tygodnie rozpocznie się rok szkolny, a my wciąż od czasu przygotowaliśmy do lata, które miało dopiero nadejść, przekomarmyamy się w mediach, jak ten letni wyoczynek bezpiecznie, w sensie epidemicznym, uporządkować. Jakoś niespecjalnie intensywnie zastanawiamy się nad przyszłym, powakacyjnym, codziennym życiem, nad planem na jesień, na zimę, na czas sprężenia koronawirusa z traktowanym wyraźnie pobłażliwie wirusem zwykłej sezonowej grypy.

Dziś jeszcze wciąż na nowo kreślmy dystans społeczny, liczymy metry bieżące i kwadratowe. A potem oglądamy obrazki, jedne w naturze, czyli wokół nas, inne, najczęściej też zresztą podobne, na ekranie. Ludzie na ulicy, ludzie w sklepie, ludzie na plaży, na stadionie, na koncercie, na festynie, na manifestacji. Ludzie bliżej, ludzie dalej, w przybliżeniu, w maseczkach i bez. W tym roku uroczystych centralnych obchodów Święta Policji, kiedy to funkcjonariusze występują w szyku zwartym, nie obchodziliśmy publicznie, bo - jak podala TVP - czas pandemii na to nie pozwolił. Ta sama policja, również w szyku zwartym, choć bojowym, a nie paradnym, potrafiła jednak niedawno występować publicznie w ramach bliskiego, łamiącego dystans społeczny, kontaktu ze społeczeństwem.

W Bieszczadach przybysze okupują plaże nad Zalewem Solińskim, snują się po górskich szlakach, zapelniają kawiarniane ogródki, cierpliwie próbują wysuplać się z przepelnionych parkingów, grzezną w korkach na węzłowych punktach wielkiej obwodnicy. Kto tu na miejscu, w naszych górach, z racji swego wieku, poczucia kwalifikacji do grupy podwyższonego ryzyka



Po co w trawie piszczy

bądź braku realnych obowiązków przynajmniej po trosze tkwi na etapie realizacji hasła „pozostań w domu”, ten utrzymuje ograniczoną łączność ze światem. Czasem zamieni kilka słów z sąsiadem z jednej strony plotu, z sąsiadem z drugiej, z tym z naprzeciwka, z przeciwną strony szosy – już nie, bo basowego dudnienia niekończących się kolumn motocyklistów nikt nie przekrzyczy.

Kontakt ze światem zapewnia więc telewizor. A tam gadają. Gadają wciąż ci sami wszechstronni eksperci od polityki, historii, kultury i ekonomii, ostatnio pasjonujący się też medycyną. Mówią o konsekwencjach prezydenckich wyborów, o sposobie rozumienia brukselskich ustaleń, ale też, przechodząc do kolejnego tematu, liczą ozdrowieńców i zakażonych, szacują reprodukcję wirusa. Potem pytają, czy nie za wcześnie ściągamy maseczki i luzujemy sanitarne restrykcje, po czym sami sobie odpowiadają, że być może tak, ale tego wymaga gospodarka, tego ludzie oczekują. Tak ma być, a potem się zobaczy. Gdy czas antenowy się kończy, należy przypomnieć, że teraz trzeba się cieszyć z ładnej pogody i bonu turystycznego, można napomknąć, że już niedługo uciejesz nas 300+ szkolnej wyprawki, a potem rzeczywiście się zobaczy.

Na razie tyle wiemy. Może to i tak dużo.

JAKUB DEMEL

Biuro energii na kołach

Co czwartek obok budynku starostwa przy ulicy Pionierskiej w Ustrzykach Dolnych działa mobilne Biuro Obsługi Klienta PGE Obrót. - To świetna inicjatywa, w końcu nie musimy jeździć czterdzieści kilometrów do Sanoka – mówią mieszkańcy powiatu.



Urzednicy podczas pracy w mobilnym punkcie

Fot. Archiwum PGE Obrót

Biuro Obsługi Klienta PGE Obrót wróciło do obsługi klientów po kilku miesiącach ograniczeń związanych z pandemią koronawirusa.

- Stawiamy na zrównoważony rozwój; obok wielu propozycji zarówno bezpośredniego, jak i zdalnego kontaktu, oferujemy alternatywne i niecodzienne rozwiązanie, jakim jest mobilne Biuro Obsługi Klienta – mówi Robert Choma, prezes zarządu PGE Obrót. - To przede wszystkim wyjście naprzeciw oczekiwaniom tych, którzy preferują tradycyjny kontakt z naszymi doradcami.

Rozpoczęcie działalności BOK w Ustrzykach Dolnych jest odpowiedzią na potrzeby mieszkańców powiatu, a w szczególności osób starszych, które często mają problem z załatwieniem spraw przez Internet lub dotarciem do sanockiego biura. - Teraz w każdy czwartek można

załatwiać na miejscu najważniejsze sprawy związane z energią elektryczną. To dobra wiadomość nie tylko dla mieszkańców gminy Ustrzyki, ale też gmin Czarna i Lutówka – nie ukrywa radości Marek Andruch starosta bieszczadzki.

Natomiast radny powiatu Wiesław Sowiński przypomina, że bus PGE przyjechał do Ustrzyk dzięki radnej Anicie Piotrowskiej, która starała się o to od roku i zbierała podpisy pod inicjatywą.

Jak zapewnia PGE Obrót, doradcy pomogą klientom zrealizować wszelkie kwestie związane z energią elektryczną i gazem. Biuro działa w reżimie ograniczeń sanitarnych, a obsługa odbywa się przy zachowaniu wszelkich środków bezpieczeństwa i higieny (maseczki, dezynfekcja).

Punkt w Ustrzykach Dolnych pracuje w każdy czwartek w godzinach 10 – 14. Zlokalizowany jest obok budynku Starostwa Powiatowego przy ul. Pionierskiej 10. paba

Zapraszamy do współtworzenia Gazety

Wciąż zmieniamy naszą Gaze-
tę, staramy się tworzyć nowe
kolumny i rozwijać dotych-
czasowe, ale żeby to robić
w należytych wymiarach – po-
trzebujemy więcej osób do
współpracy.

Wiemy, że w Bieszczadach i okolicy nie brakuje ludzi z pasją, rozmiłowanych w języku polskim, umiejących pisać, rysować, fotografować, tworzyć projekty graficzne. Dlatego serdecznie zapraszamy do współtworzenia naszego dwutygodnika.

Potrzebujemy ludzi z zacięciem dzien-

nikarskim, by pisali o problemach społecznych, gospodarczych, samorządzie, historii, sporcie, turystyce, przyrodzie, kulturze. O wszystkim, co może zainteresować Czytelników mieszkających w Bieszczadach oraz tych spoza regionu, którym Bieszczady są bliskie. Mamy szansę zbudować ciekawy zespół i technąć nowego ducha w Gazetę. U progu trzydziestego rocznicy istnienia dwutygodnika owo zadanie jest szczególnie ważne.

Zapraszamy i czekamy na kontakt. Telefony i adresy e-mail znajdują Państwo w stopce redakcyjnej na przedostatniej stronie GB.

Redakcja

Stypendium

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

You Tube – Tomek D.
Muzyczne spotkania

Przyjezdni wirusa się nie boją

ciąg dalszy ze s. 3

Przyznam, że sporo osób nie chciało jednak zaliczek, tylko przenosiło rezerwacje na inny termin. W maju, gdy rząd zniósł ograniczenia, znów rozdzwoniły się telefony. Ludzie nie wierzyli, kiedy im mówiłam, że nie ma już wolnych terminów. Inni wciąż dzwonili i dopytywali się, czy wszystko aktualne. Czasem już byłam zmęczona telefonami, ale ich rozumieć - chcieli się wyrwać z miasta i odreagować. Przyznam, że w maju i czerwcu takiego obłożenia jeszcze nie widziałam. Jedna para, ze względu na to, że odwołała wycieczki zagraniczne, była u nas w tym roku już pięć razy.

„Uroczysko” swoim gościom oferuje noclegi w domkach letniskowych, a w tym roku to najbardziej pożądane miejsca do kwatowania. - W osobnych domkach ludzie czują się bezpieczniej, bo tak naprawdę wcale nie muszą się spotykać ani z nami, ani z innymi gośćmi. Domki są w znacznej odległości od siebie, dla dzieci kilka placów zabaw, które są dezynfekowane, tak samo jak SPA. Informujemy tylko gości o tym, żeby przyjeżdżali później, po godzinie 15, bo ze względu na wymogi Głównego Inspektora Sanitarnego sprzątanie domków trwa teraz dłużej. Dodatkowo, jeśli tylko chcą, pieniądze za pobyt wpłacają na konto, więc i oni czują się bezpiecznie, i my.

Adelina Antosz-Kuniewicz dodaje, że wakacje są „zapięte” do ostatniego noclegu, gorzej jest z późniejszymi terminami. - Nikt nie wie, co będzie jesienią. Ostatnio codziennie notuje się ponad pół tysiąca zakażeń. Nie wiadomo czy będą otwarte szkoły i przedszkola, dlatego wrzesień zapelnia się nam powoli i są to przeważnie stali klienci, którzy od lat odwiedzają nas o tej porze.

Szefowa „Uroczyska” podkreśla, że w swojej agroturystyce nie obawia się zakażeń. - Owszem, jest ryzyko, że przyjedzie ktoś chory, tak jak kilka tygodni temu do sąsiadów, ale większe ryzyko zakażenia istnieje w sklepie lub w górach, które są teraz strasznie zatłoczone.

Bez rezerwacji na Sylwestra i ferie

Na brak turystów w trakcie tegorocznych wakacji nie narzeka też Mariusz Kobzdej, współwłaściciel pensjonatu „Panorama Gromadzyń” w Ustrzykach Dolnych. W tym roku, z myślą o wygodzie i bezpieczeństwie turystów, w pensjonacie przeprowadzono remont. Teraz każdy apartament ma osobne wejście



Nie tylko w pomieszczeniach, ale i na bazarach, gdzie też duży ruch, warto zachować ostrożność i założyć maseczkę
Fot. Andrzej Górski

i kuchnię. Pan Mariusz również nie musi się widywać z osobami, które w osobnych apartamentach nie muszą nosić maseczek. - Goście bardzo rzadko interesują się tym, czy przestrzegamy wytycznych GIS. Raz na dziesięć osób trafi się, że ktoś zapyta, czy spełniamy wymogi sanepidu. Zapewniam, że przestrzegamy.

Tegoroczny sezon turystyczny trwa krócej, ale Mariusz Kobzdej okres wakacyjny ma wypełniony do ostatniego noclegu. Zauważa też, że w ubiegłych latach o tej porze miał już wszystkie rezerwacje na Sylwestra czy ferie zimowe. Teraz nie ma. - Na późniejsze terminy nie przyjmujemy rezerwacji, bo później więcej jest zachodu z oddawaniem zaliczek. Czasy są niepewne, nie wiadomo, jaki będzie wrzesień, bo jest coraz więcej zachorowań - mówi. - Ludzie chcą przyjeżdżać w Bieszczady, bo u nas teoretycznie jest mało zakażeń i mniejsze zagrożenie. Ale gdy się nie robi testów, to zakażeń nie widać, więc nie wiadomo, jak jest naprawdę.

Właściciel „Panoramy Gromadzyń” zauważa również, że większe niebezpieczeństwo zakażenia koronawirusem istnieje na zatłoczonych szlakach niż w agroturystykach czy pensjonatach. - Każdy z właścicieli chce mieć gości, więc dba o to, by spełniać wszystkie wymagania. Wystarczy jedno zakażenie i turyści nie przyjadą. Ale popatrzmy na to szaleństwo, które dzieje się nad

Soliną. Ludzie nie zachowują ostępów, deptają sobie po piętach i nikt nie nosi maseczek. Co będzie dalej, zobaczymy. Resztę roku widzę jednak nieciekawie.

Bez maseczek wyrzucamy!

W Solinie rzeczywiście tłumy. Turystów pełno nie tylko nad wodą, lecz i w restauracjach, na zaporze czy deptaku. Gośćmi wypełnione są zarówno małe pensjonaty i kwatery, jak też duże obiekty noclegowe. - Generalnie na wakacjach mamy sto procent obłożenia, większość to „last minute” - mówi nam dyrektor jednego z hoteli w Myczkowcach (imię i nazwisko do wiadomości redakcji). - Ludzie teraz nie wyjeżdżają za granicę, a odpocząć muszą i zostaje im tylko polska turystyka. Ale o turystę trzeba walczyć, bo ceny są wyższe niż w zeszłym roku. Jak tylko zwalnia się rezerwacja, wchodzi na booking.com i daje ogłoszenie. Przed rozmową z panią dałem jedno; proszę, już widzę, że ktoś zarezerwował. Wszystko to kwestia sprzedaży produktu. Mimo że nasz hotel nie należy do najnowocześniejszych, to nie mamy problemu z gośćmi.

Jak mówi dyrektor, zasady GIS są przestrzegane rygorystycznie. - Po koje, stołówka i korytarze są sterylizowane. Maseczki należy nosić w stołówce i na korytarzach. Personel zwraca uwagę każdemu, kto nie przestrzega przepisów. Jeśli komuś nie



Parking przy wejściu do doliny Łopienki, 2 sierpnia 2020 Fot. Kazimierz Nózka

odpowiada, to „do widzenia”. Przyznam, że dwóch gości już wyrzuciłem, to znaczy zwróciłem zaliczkę i poprosiłem, by się wyprowadzili. Jeden z nich próbował tłumaczyć, że ma astmę, więc poprosiłem go o zaświadczenie lekarskie. Zaczął się zaślaniać RODO, więc mu powiedziałem, że w moim hotelu ma przestrzegać zasad, które ja mu narzucam. Jeżeli jest chory, niech to udowodni. Mamy ponad czterdzieści pokoi i setki gości, nie będziemy ryzykować zdrowiem naszych pracowników, dzieci czy rodziców. Czasem zdarza się też, że goście próbują na przykład wystawiać nos z maseczki; wtedy grzecznie zwracamy uwagę i przyznam, że w większości to rozumieją.

Dyrektor twierdzi, że nie dość, iż sam rygorystycznie przestrzega zasad narzuconych przez GIS, to często jeździ i sprawdza, jak sytuacja wygląda u konkurencji. - Wystarczy jeden zakażony turysta w Polańczyku lub Solinie i ludzie zaczną masowo odwoływać rezerwacje w całej okolicy. Co wtedy zrobimy?

Bez nowych zakażeń

Mimo ogromnej liczby turystów, w Bieszczadach do 2 sierpnia nie odnotowano nowych zakażeń koronawirusem. Do tej pory w rejonie objętym nadzorem Powiatowej Państwowej Inspekcji Sanitarnej w Ustrzykach Dolnych odnotowano 7 zakażeń - 2 w

powiecie bieszczadzkim (13 czerwca) i 5 w leskim (4 kwietnia). Do 30 lipca na terenie dwóch powiatów w kwarantannie przebywa 79 osób: w powiecie bieszczadzkim 49, w leskim 30. Pod nadzorem ustrzyckiego PPSi nie ma nikogo.

- Na obszarze powiatów wszyscy zobowiązani są do przestrzegania rozporządzenia Rady Ministrów w sprawie ustanowienia określonych ograniczeń, nakazów i zakazów w związku z wystąpieniem stanu epidemii - przypomina Mateusz Radko z Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Rzeszowie. - W lipcu Państwowy Powiatowy Inspektor Sanitarny w Ustrzykach Dolnych wydał dwie decyzje związane z nieprzestrzeganiem zasad kwarantanny przez dwóch obcokrajowców. Nie wystawiano mandatów.

Niestety, w ostatnich tygodniach WSSE w Rzeszowie codziennie informuje o kilkudziesięciu zakażeniach w województwie podkarpackim. Liczba zarażonych wzrosła do 1339 przypadków (dane z 1 sierpnia). Pod nadzorem sanepidu pozostaje 8 osób, 2315 poddanych jest kwarantannie, a w izolacji przebywa 371 osób.

Najwięcej zakażonych obecnie jest w powiecie jarosławskim. Tam w ostatnich tygodniach wykryto kilka ognisk koronawirusa, którym zakażyło się 534 osoby. Wśród zakażonych są m.in. pracownicy Zakładów Mięsnych w Jarosławiu - ponad 300 osób i pracownicy zakładu Mondelez - 15 osób. W ogniskach w powiecie jarosławskim wyzdrowiało już prawie 300 osób, a 16 zmarło.

Nie jesteśmy przygotowani

O tym, że już niedługo służbie zdrowia może grozić realna groźba katastrofy w drugiej fazie pandemii, alarmuje w rozmowie z dziennikarzem portalu onet.pl, dr Paweł Grzesiowski, ekspert z zakresu profilaktyki i terapii zakażeń. Według niego jesteśmy nieprzygotowani na jesień w wielu sferach, a wszystko wskazuje na to, że w połączeniu z gripą koronawirus stanie się znacznie bardziej niebezpieczny. W szpitalach może pojawić się dodatkowo nawet kilka tysięcy pacjentów każdego dnia. Dr Grzesiowski uważa też, że po wakacjach nie powinniśmy liczyć na całkowity powrót dzieci do szkół.

PAULINA BAJDA

Więcej informacji o zakażeniach koronawirusem w regionie na portalu www.bieszczadzka24.pl lub na FB GB

Czas jest najlepszym lekarstwem na smutek, a wspomnień nikt nam nie odbierze, zawsze będą z nami.

PANI KRYSZTYNIE PALUCH
wyraży głębokiego współczucia i słowa otuchy z powodu śmierci
MEŻA

śp. JANA PALUCHA
składają dyrekcja, nauczyciele, pracownicy,
uczniowie oraz rodzice SP w Ropience.

Wszystkim, którzy towarzyszyli nam w trudnych chwilach

po śmierci

ŚP.

TADEUSZA

SEKA

składamy szczerze

podziękowania

Rodzina

Samorządowcy dostali kary więzienia
w zawieszaniu i grzywnę

Skazani za łapówki

Sąd Okręgowy w Krośnie skazał byłego wójta Komańczy Stanisława B. oraz jego zastępcę Jerzego K. na rok więzienia w zawieszaniu na dwa lata oraz zakaz wykonywania funkcji kierowniczych w samorządzie terytorialnym. Tym samym podtrzymał wyrok sądu pierwszej instancji.

Obydwaj panowie stali się „bohaterami” afery łapówkarskiej jeszcze w 2007 r., gdy gmina wydzierżawiła grunty prywatnej osobie. Gdy okazało się, że dzierżawca dostaje duże dopłaty z Unii Europejskiej, samorząd zaczął się zastanawiać nad zmianą umów. Dodatkowo mieszkańcom nie podobało się, że urząd pozbył się gruntów i dopłat do nich.

O możliwości popelnienia przestępstwa przez urzędników powiadomił prokuraturę dzierżawca Witold S. Twierdził, że uzależnili oni przedłużenie mu dzierżawy od wpłacenia darowizny na dwa lokalne stowarzyszenia, które również były zainteresowane dzierżawą ziemi. W zarządzie jednej z nich zasiadał Jerzy K.

Stanisław B. został oskarżony o to, że jako wójt gminy Komańcza, wspólnie i w porozumieniu z zastępcą Jerzym K., uzależnił wykonanie czynności służbowych od otrzymania korzyści majątkowych. Umowa dzierżawy przez Witolda S. gruntów w Turzańsku i Jaworniku miała być przedłużona pod warunkiem, że wpłaci on 50 tys. zł dla stowarzyszeń „Razem dla Turzańska” oraz „Wilki”. Umowę podpisano dopiero po wpłaceniu pieniędzy na ich konta, 8 maja 2007.

Nagrania obciążające urzędników

Dla Witolda S. przedłużenie umów było konieczne, ponieważ chciał nadal brać udział w programie w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, który gwarantował dopłaty z Unii Europejskiej. W przypadku rezygnacji musiałby zwrócić otrzymane już dotacje w wysokości 300 tys. zł za każdy poprzedni rok uczestnictwa w projekcie. Jak mówił podczas procesu, musiał zrobić wszystko, żeby gmina zgodziła się przedłużyć umowę, dlatego w 2007 r. podpisał stosowne dokumenty przygotowane przez samorząd. Złożył jednak zawiadomienie do prokuratury i poinformował ją, że jest też w posiadaniu nagrań ze spotkań, które obciążają byłych urzędników.

Prokuratura zebrała obszerny materiał. Były wójt Stanisław B. oraz jego zastępcę Jerzy K. uszydzieli zarzuty z artykułu 228 par. 4 kodeksu karnego. Mówi on o przyjęciu korzyści majątkowej w związku z pełnieniem funkcji publicznej oraz uzależnieniu wykonania czynności służbowej od otrzymania korzyści majątkowej lub osobistej.

Po trwającym kilkanaście lat procesie, sąd skazał oskarżonych na grzywnę, karę jednego roku pozbawienia wolności w zawieszaniu na dwa lata oraz zakaz pełnienia stanowisk w samorządzie terytorialnym. Obaj skazani odwołali się od wyroku. Niedawno Sąd Okręgowy w Krośnie podtrzymał wyrok pierwszej instancji. Zasadził także wobec obydwu mężczyzn grzywnę w wymiarze 150 stawek dziennych przy przyjęciu, że jedna stawka jest równoważna 40 zł. Ponadto zakazał im zajmowania stanowisk kierowniczych w samorządzie terytorialnym na dwa lata.

Gwarancja nietykalności?

Ocena pracy byłego wójta Komańczy Stanisława B. przez lata była pozytywna. Chwalono go m.in. za wykorzystanie funduszy norweskich na odbudowę spalanej szkoły. W 2016 roku radni gminy uznali, że „wójt realizując zadania budżetowe naruszył zasady celowości, legalności i oszczędności w gospodarowaniu środkami publicznymi” i nie udzielił mu absolutorium. Decydujący głos podsumowujący rząd wójta i jego zastępcę mieli jednak wybory, którzy w minionych wyborach samorządowych zdecydowali, że nie chcą ich więcej widzieć w urzędzie. Obaj startowali z komitetów popieranym przez Prawo i Sprawiedliwość.

Co ciekawe, panowie wrócili do pracy w Urzędzie Gminy w Komańczy. Były wójt zasiadł w Powiatowym Zespole Doradztwa Rolniczego (obecnie już przeszedł na emeryturę). Natomiast Stanisław K., wrócił do urzędu po długim zwolnieniu lekarskim na stanowisko sekretarza gminy.

Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że umowa, którą spisano z nim tuż przed wyborami „gwarantuje mu nietykalność”, ze względu na wysokie koszty ewentualnego wypowiedzenia. Jego karierę w samorządzie powinien zakończyć prawomocny wyrok, w którym sąd orzekł „zakaz zajmowania stanowisk kierowniczych w samorządzie terytorialnym na okres dwóch lat”. Obecny wójt Komańczy Roman Bzdyk nie ma na razie możliwości usunięcia go ze stanowiska i czeka na ruch Jerzego K.

Chodzi o wizerunek gminy

Sąd Okręgowy nie doszukiwał się uchybień w pracy Sądu Rejonowego, a więc uznał, że podstawa wydania wyroku, w szczególności ta faktyczna, nie budzi wątpliwości w świetle zebranego materiału dowodowego – podkreśla w mailu do redakcji wójt. - Co istotne, orzeczenie zakazu pełnienia funkcji publicznych wobec osoby, która taką funkcję w dniu wydania prawomocnego orzeczenia pełni, determinuje przede wszystkim tę osobę do zastosowania się do treści wyroku. I to pod rygorem dalszych sankcji.

Wójt zauważa, że istotną rolę pracodawcy jest ocena sytuacji prawnej takiego pracownika w świetle obowiązujących przepisów. - Obecnie kluczowe po stronie gminy jest ustalenie wszystkich okoliczności mogących mieć wpływ na zatrudnienie pracownika urzędu. Kodeks pracy, jak również ustawa o pracownikach samorządowych, nakłada na pracodawcę szereg obowiązków związanych z podejmowaniem czynności z zakresu prawa pracy – zaznacza Roman Bzdyk.

Ma też nadzieję, że proces nie wpłynie negatywnie na wizerunek gminy. - Komańcza i okolice to wspaniałe miejsce i wspaniali ludzie, tworzący wspólnotę samorządową. Dlatego nie powinniśmy oceniać gminy przez pryzmat konkretnych osób, które – jak stwierdził niezawisły sąd – dopuściły się popelnienia przestępstwa.

W gminie Cisna powstanie stacja wykrywania zagrożeń promieniotwórczych. Będzie najpewniej jedyną taką w Bieszczadach.

Państwowa Agencja Atomistyki stale monitoruje sytuację radiacyjną. Wykorzystuje do tego między innymi 24 stacje PMS (ang. Permanent Monitoring System) rozlokowane w Polsce. Łącznie sieć obejmuje niemal 60 różnego rodzaju stacji do obserwacji radiacyjnej. - Zadaniem takich stacji jest umożliwienie bieżącej oceny sytuacji radiacyjnej kraju, ze szczególnym uwzględnieniem bezpieczeństwa ludności. System umożliwia szybką identyfikację zagrożeń – wyjaśnia Stanisław Janikowski, rzecznik prasowy Państwowej Agencji Atomistyki.

Stacje PMS zapewniają monitorowanie poziomu promieniowania jonizującego na obszarze kraju 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu. Dzięki rozbudowie liczba stacji wczesnego wykrywania skażeń promieniotwórczych na ścianie wschodniej wzrosnie z 6 do 19.

Rozbudowa sieci i jej zagęszczenie umożliwi wcześniejsze wykrywanie zdarzeń radiacyjnych za wschodnią granicą Polski, dzięki czemu Agencja będzie mogła sprawniej reagować w sytuacjach kryzysowych oraz szybciej informować społeczeństwo o konieczności podjęcia ewentualnych działań zaradczych.

- Na Ukrainie, w odległości 300 km od polskiej granicy, znajdują się cztery elektrownie jądrowe. Dwie eksploatowane (Równe, Chmielnicki), jedna w budowie (Ostrowiec), jedna w likwidacji (Ignalina). Konieczność prowadzenia ciągłego monitoringu radiacyjnego za

Żeby ostrzec ludzi przed promieniowaniem



Takie urządzenie sprawdza, czy jesteśmy narażeni na działanie promieniotwórcze. Fot. Archiwum Państwowej Agencji Atomistyki

wschodnią granicą uwydatniły również pożary lasów w Czarnobylińskiej Strefie Wykluczenia – przypomina rzecznik PPA.

Pracownicy Lasów Państwowych wytypowali już miejsca, w których mogłyby zostać zamontowane stacje. - Są niewielkimi urządzeniami i ich usytuowanie w lasach nie będzie się wiązało z koniecznością usuwania drzew ani ograniczeniami w ruchu turystycznym. W rekonesansie wskazano potencjalne lokalizacje, ale o tym dopiero zdecyduje Agencja Atomistyki - informuje Edward Marszałek, rzecznik RDLP w Krośnie.

Obecnie sieć stacji powstaje wzdłuż całej wschodniej granicy Polski. Przewiduje się ich roz-

mieście w odległości około 50 km od siebie. - Jedną z lokalizacji może być obszar gminy Cisna, natomiast konkretne miejsce zależy od ustaleń z zarządcami gruntów, dostępności infrastruktury oraz cech terenu umożliwiających prawidłowy pomiar - mówi rzecznik Agencji. - Ostateczne decyzje będą podjęte przez PAA po analizie m.in. otoczenia przyrodniczego, urbanistycznego czy dostępności infrastruktury telekomunikacyjnej.

Rozbudowa punktów wykrywania skażeń promieniotwórczych przewidywana jest na koniec 2020 roku. Bieżące wyniki pomiarów można śledzić na stronie internetowej Państwowej Agencji Atomistyki.

paba

Zenek w Bieszczadach

Dziwny ten sezon turystyczny. Na początku wszyscy płakaliśmy, że wirus z koroną pogrąży nas całkowicie. Stracony weekend majowy, niepewność nadchodzącego lata, odwołanie imprezy. To wszystko sprawiło, że wielu z nas z niepokojem patrzyło w przyszłość. Potem nadeszło lato i nagle okazuje się, że w Cisnej, Wellinie i okolicy wynajęcie domku czy pokoju graniczy z cudem.

Tumy turystów, zlaknionę dzikości i bezludności Bieszczadów, ruszyły z najdalszych zakątków Polski. Jedni mieszkańcy się cieszą i z lubością liczą zasobność swoich portfeli, inni narzekają, że tłok, zaduch, korki i wspominają sezony turystyczne sprzed kilkunastu lat, kiedy i pokoje były zajęte, a restauracje pełne, ale kolejek na szlakach jakoś nikt nie widział. Podzielcie się z Państwem i ja swoją obserwacją.

Obecny sezon pokazuje, jak bardzo zmienił się w tym roku turysta przyjeżdżający w Bieszczady. Absolutnie nie chcę nikogo urazić i nadal uważam, że gro ludzi nas odwiedzających to turyści przez duże T, jednak obecnie mocno do głosu doszło to mniejsze t. Sytuacja pandemiczna sprawiła, że dużo ludzi zrezygnowało z wyjazdu za granicę i do popularnych polskich kurortów typu Zakopane czy Władysławowo. W zamian postanowiło zaszczyć swą obecnością Bieszczady. Na „ko-

niec świata” ruszył turysta, który do tej pory imprezował w nadmorskich dyskotekach, robił selfiki na Gubalówce i z piwkiem w ręku jechał wozem nad Morskie Oko. A jak piwko się skończyło, to puszkę w krzaki i następane.

Takich ilości śmieci jak w tym roku nasze lasy jeszcze nie widziały. Setki puszek po Żubrachi i Hamasiach, petów i innych odpadów charakterystycznych dla tej grupy „turystów” spotykam w miejscach tak niezwykłych, że aż się dziwię, iż ktoś miał chęć tarmosić tam sześciopak browaru. Pod wieżą widokową „Jeleni Skok” takie właśnie śmieci zapelnily cały schron przeciwdeszczowy. Tego naprawdę u nas nie było. Do podobnych wniosków można też dojść, przechadzając się przez Cisną wieczorem. Restauracje może nie świecą pustkami, ale tłumów też nie uświadczysz. Bo po co pić zimny, zlocisty płyn w kulturalnej atmosferze, gdzie nie za bardzo można rzucić na prawo i lewo słowa na k i ch. I jeszcze płacić za nalanie.

Za to w sklepie ogonek ludzi z najtwardszą kielbasą na grilla i czteropakiem piwa o niezbyt wyrafinowanym smaku, za to w promocyjnej cenie. Przy domkach i pensjonatach dymią przenośne grille niczym kiedyś łopińskie retorty, a z przenośnych głośników Zenek zachwyca się zielonymi oczyma jakiejś piękności. O parkowaniu, gdzie ma się tylko ochotę, już nawet nie będę pisał. Kto by się przejmował znakami



Spod Łopiennika

czy innymi uczestnikami ruchu. Kij im w oko, kiedy szlachta na urlopie odpoczywa.

Góry są dla wszystkich. Bieszczady też. Nie da się postawić znaku zakazu wstępu obejmującego tylko przysłówiowych Jamusy i Karyny. Mam jednak nadzieję, że w przyszłym sezonie ruszą pełną parą promocyjne wyjazdy do Egiptu czy Turcji, a popularne kurorty w Polsce znów przyciągną starych bywalców. Bieszczady muszą odechnąć i skusić do powrotu swoich prawdziwych wielbicieli.

O tym, że tak będzie, przekonała mnie sytuacja, jaką podpatrzyłem ostatnio na szlaku pod Rawkami, kiedy farbowana blondyna w kłapkach wyszła z swojego łubego z wytatuowanym tygrysem na jednej ręce i tanim piwem w drugiej: „Mam dość tego łażenia bez sensu pod górę. Nigdy więcej nie dam się namówić na jakieś pieprzone Bieszczady”.

MATEUSZ ŚWIERCZYŃSKI

paba

List otwarty Do Burmistrza i Radnych Miasta Ustrzyk Dolnych w sprawie nadania jednej z ustrzyckich ulic zaszczytnego imienia dra Romana Lenartowicza

Szanowny Panie Burmistrzu,
Szanowne Panie Radne,
Szanowni Panowie Radni.



Doktor Roman Lenartowicz całe swoje życie związał z Ustrzykami Dolnymi. Pracą i działalnością społeczną zapisał się na kartach historii miasta jako niezwykle człowiek.

W latach 1920 – 1939 pełnił zaszczytną funkcję burmistrza Ustrzyk Dolnych. Jego osobowość, brak uprzedzeń narodowościowych, szacunek dla każdej nacji i religii, duży spokój i takt sprawiły, że zyskał bezgraniczne zaufanie mieszkańców – zarówno Polaków, Żydów, jak i Ukraińców.

Jako gospodarz miasta rozwiązywał problemy socjalne, oświaty, elektryfikacji i estetyki miasta. Za jego staraniem stanął okazały budynek szkolny, obecne liceum ogólnokształcące. W kronice szkolnej ówczesny kierownik szkoły Karol Stócki zanotował: „W końcu nowy burmistrz dr Roman Lenartowicz zainteresował się szkołą i za jego staraniem stanął nowy budynek, wspaniały – dla dzieci oraz przyszłych pokoleń – za co mu cześć”.

Był współzałożycielem Rolniczej Kasy Zaliczkowo – Pożyczkowej, dającej możliwość uzyskania taniego i łatwo dostępnego kredytu, co z kolei ułatwiała życie mieszkańcom i przyczyniało się do rozwoju miasta. Był inicjatorem utworzenia oddziału Kółek Rolniczych, prężnej wówczas organizacji gospodarczej, która umożliwiała mieszkańcom zakup produktów żywnościowych i narzędzi po niższych cenach. Brał czynny udział nadzorując budowę ustrzyckiego kościoła rzymskokatolickiego. Ważne były dla niego sprawy estetyki i czystości bardzo zaniedbywane w galicyjskich miejscowościach. Dzięki niemu powstało Towarzystwo Upiększania Miasta, które przyczyniło się między innymi do założenia Parku Miejskiego w ustrzyckim rynku. Za jego inspiracją powstało Towarzystwo Sokół, a przy nim miejska biblioteka.

Czas burmistrzowania dra Lenartowicza to również rozpoczęcie budowy elektrowni. Równolegle do bardzo szerokiej działalności społecznej lekarz Roman Lenartowicz prowadził praktykę lekarską. Nigdy nie odmawiał pomocy w nagłych

przypadkach. Często mroźną nocą był widziany saniami do odległych bieszczadzkich wsi: Lutowisk, Czarnej czy Soliny. Ze szczególną troską traktował ludzi biednych, którzy nierazdo przybywali przez góry z oddalonych od Ustrzyk wiosek. „Ważniejsi od dóbr materialnych są zawsze ludzie” – mawiał i zgodnie z tą dewizą postępował.

W czasie II wojny światowej leczył rannych partyzantów. Wielkim wstrząsem była dla niego eksterminacja Żydów, wśród których miał wielu przyjaciół – nigdy nie widziiano go tak przygnębionego, a nawet płaczącego z bezsilności.

Zmarł z 5 na 6 grudnia 1939 roku. Pochowany został na cmentarzu w Olszaniczy. Po 64 latach w 2013 roku doczesne szczątki burmistrza staraniem Rodziny zostały przeniesione do rodzinnej kaplicy grobowej w Ustrzykach Dolnych – Jasieniu.

Nadanie nazwy ulicy jego imieniem będzie podziękowaniem za to, co zrobił dla swojego miasta i któremu był bezgranicznie oddany. Będzie hołdem złożonym po tylu latach niemocy i braku zainteresowania jego osobą przez władze miejskie. To także ważny sygnał dla społeczeństwa, aby wskazać wzorcowe człowieka, który łączył ludzi o różnych wyznaniach religijnych czy poglądach politycznych.

Najlepszym miejscem na ulicę im. dra Romana Lenartowicza będzie obecna ul. Wojska Polskiego, przy której stoi dom rodzinny dawnego Burmistrza.

Z poważaniem
Ewa Jaworzyńska - prawniczka
Piotr Jaworzyński - prawnik

Trzeba odnowić ten grób

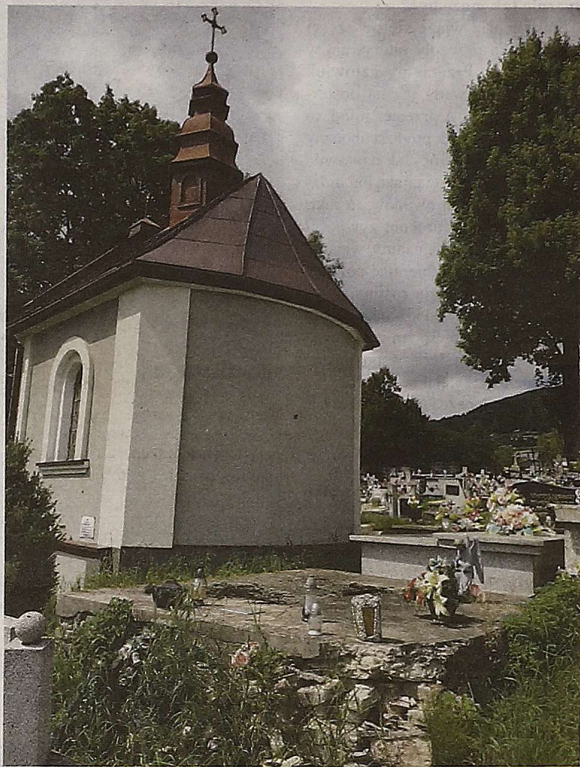
Na cmentarzu komunalnym w Ustrzykach Dolnych, tym powyżej cerkwi, w oczy kłuje zniszczony grób. Leży obok kaplicy na starej części cmentarza. Spoczywają w nim szczątki człowieka, który zasłużył się dla miasta jako lekarz i burmistrz.

Dr Włodzimierz Hukiewicz był Ukraińcem, lekarzem medycyny, w dodatku bardzo dobrym. Służył w wojsku polskim w randze kapitana, został odznaczony m.in. Krzyżem Zasługi trzeciego i drugiego stopnia.

Na szerokiej kamiennej płycie widnieje mała tabliczka z jego nazwiskiem po polsku i ukraińsku. Po polsku z dwoma błędami. Niżej, w stóp grobu – ruina. Wysypane cegły, które odklejiły się od budowli, dziura, przez którą można zajrzeć do środka, stare, sztuczne wieńce sprzed wielu lat. Puste, stare znicze. Choć czasem ktoś pamięta o zmarłym, bo jednak raz do roku (albo i częściej) pałą się na jego grobie. Może zaświeca je przechodzień w dzień Wszystkich Świętych, może osoba, która obok ma groby swoich bliskich. Chwała im za to.

Dr Włodzimierz Hukiewicz mieszkał w czasie wojny w swojej kamienicy na dzisiejszym przedmieściu Ustrzyk. Miał żonę i dzieci. Leczył ludzi, a podczas okupacji Niemcy wyznaczyli go na burmistrza. Zgodził się, bo wiedział, że nie ma wyjścia. A przy okazji może uda mu się zrobić coś dobrego dla mieszkańców – Ukraińców, Polaków, Żydów. Właśnie w obronie tych ostatnich parokrotnie interweniował u okupanta. Prosił hitlerowców, by nie bili Żydów, nie poniżali ich i – w końcu – nie zabijali. Tłumaczył, że to jego sąsiedzi, znajomi, współmieszkańcy.

Naziści zlekceważyli burmistrza i ani na chwilę nie zmienili postępowania wobec Żydów. Ustrzycki lekarz i wódcarz być może był nawet świadkiem ich opluwania, kopania, odzierania z godności. Odczłowieczania. A potem mordowania. Któregoś razu znowu poszedł do lokalnych władz niemieckich. Znowu błagał o litość dla żydowskiej społeczności. Jeśli już nie dla dorosłych, to chociaż dla dzieci.



Grób dra Włodzimierza Hukiewicza na cmentarzu w Ustrzykach Dolnych. Stan na 3 sierpnia 2020 roku
Fot. Krzysztof Potaczała

Został werbalnie sponiewierany, niewkluczone, że pobity. Nie aresztowano go, ale zaraz po powrocie do domu, 2 sierpnia 1941 roku, dopadł go zawał serca. Śmiertelny.

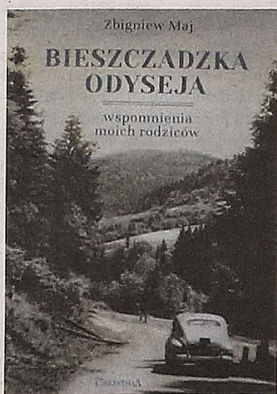
Dr Włodzimierz Hukiewicz po wojnie został zapomniany. Jego krewni pewnie przez jakiś czas jeszcze mieszkali w Ustrzykach, a potem... Któż wie? Niewiele wiadomo również o nim samym – poza tym, co napisane. Na ile angażował się we współpracę z Niemcami, co chciał przy tym ugrać dla swoich

rodaków? Czy wszedł do struktur Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów?

Nie pora, by szukać potomków, za to pora, by odnowić nagrobek. Kto ma to zrobić? Może Rada Miejska przeznaczy pewną kwotę na remont? Może też Rada Powiatu Bieszczadzkiego, wszak zmarły przed laty lekarz nie szczędził czasu również dla chorych spoza Ustrzyk? A może swoją cegiełkę dołoży mniejszość ukraińska?

POT

Z pamięci osadników



W Bieszczady ruszali w poszukiwaniu nowego, lepszego życia. Pełni nadziei, planów, oczekiwania. Zderzenie marzeń z rzeczywistością nie zawsze pokrywało się z wyobrażeniami. Tylko najtwardsi i ci, którzy pokochali Bieszczady prawdziwą miłością, znaleźli w sobie dość siły i determinacji, by zostać tu na zawsze...

Bieszczadzka odyseja to opowieść o trudach życia osadników z lat 50. i 60. XX wieku. Książka oparta jest na wspomnieniach rodziców autora, którzy w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych zamieszkali w Bieszczadach, podejmując pracę w Państwowych Gospodarstwach Rolnych.

To książka o codziennym życiu „zwykłych” ludzi, najczęściej młodziarzy pochodzącej z ubogich, wielodzietnych rodzin. Wbrew

utrwalonym już mocno wyobrażeniom o Bieszczadach, jako miejscu ucieczki, czy „zsyłki” dla ludzi niepokornych, bądź takich, którzy weszli w kolizję z prawem, to właśnie biedni ludzie pochodzący z przeludnionych wiosek dominowali wśród pierwszych powojennych mieszkańców tych gór. Tytuł książki nawiązuje do wieloletniej tułaczki pionierskich rodzin osadniczych w poszukiwaniu miejsca do godnego życia.

Książka opatrzona jest kilkudziesięcioma ilustracjami, wśród których przeważają zdjęcia archiwalne. Nie jest to opracowanie historyczne, lecz opowieść oparta na wspomnieniach. Opisano w niej autentyczne wydarzenia z tamtych czasów, autentyczne są też postacie (jedynie niektóre imiona zostały zmienione).

MP

POCZTA GB

POCZTA GB

Za głośno w mieście

Jestem obywatelem Ustrzyk Dolnych. Mieszkam nieopodal rynku. Cieszy mnie, że miasto pięknieje, mówią o tym także turyści, ale jedna kwestia mnie denerwuje i niepokoi. To nie zło, że aż do zamknięcia lokali gastronomicznych ludzie przesiadują w knajpkach i ogródkach, piją kawę, piwo, jedzą obiad i lody. Śmieją się, nawet podśpiewują. I bardzo dobrze. Natomiast nie podoba mi się, że po godzinie 22, a więc już w czasie ciszy nocnej, grupki osób (także nietrzeźwych) przesiadują w centrum miasta i zakłócają spokój mieszkańcom oraz tym, którzy przyjechali tu na wypoczynek. Najgorzej jest właśnie w rynku, na plantach, a echo odgłosów (również pijackich ryków) niesie się po całym centrum. Każdemu wolno korzystać w uroków życia, ale obowiązują pewne zasady. Byłoby wskazane, gdyby policja częściej sprawdzała, późnym wieczorem i w nocy, rynek i przyległe uliczki.

Imię i nazwisko Czytelnika do wiadomości redakcji

Pszczoła jeszcze się broni

Rozmowa z Marianem Maksymcem, prezesem ustrzyckiego koła Polskiego Związku Pszczelarskiego – o pszczołach, pożytkach płynących z ich hodowli i innych problemach bieszczadzkiego pasiecznictwa

- Albert Einstein mówił, że jeśli zginie ostatnia pszczoła na kuli ziemskiej, ludzkości pozostaną tylko cztery lata życia. Czy faktycznie tak może być?

Taka teoria wiąże się po części z rolą, jaką pszczoły odgrywają w życiu ludzi. Przeciętny człowiek patrzy na te owady jak na dostarczycieli miodu. A przecież miód, to można powiedzieć, produkt uboczny działalności pszczoł. Tak naprawdę największą korzyścią, jaką ma ludzkość z pracy tych owadów, to fakt, że osiemdziesiąt procent żywności na świecie zawdzięczamy właśnie pszczołom, które zbierając pożytek przy okazji zapylają rośliny. Obserwując pszczoły od kilkudziesięciu lat i widząc, że mimo zmieniających się warunków natura, wspomaganą przez człowieka, jakoś się broni. Są oczywiście lepsze i gorsze okresy. Z mojej perspektywy widzę, że przynajmniej w Bieszczadach pszczoł nie ubywa, a nawet przybywa. Tak więc mam nadzieję, że w tym wypadku Einstein się mylił.

- Czy aby mieć miód wystarczy mieć pszczoły?

Pszczelarstwo to dziedzina gospodarki człowieka na pograniczu rolnictwa i hodowli. I jak w tych gałęziach gospodarki – wymaga od właściciela dużej systematyczności i oddania. Pszczelarz, jak rolnik czy hodowca, nie może sobie powiedzieć: dzisiaj nie będę pracował, bo mi się nie chce, czy mam inne zajęcie. Pewnych prac i zabiegów nie można odłożyć na jutro, bo będzie za późno. Posiadanie pszczoł to podstawowy warunek otrzymania miodu, ale do tego musi zostać dołożona solidna praca pszczelarza. Są okresy w sezonie, że w pasiece trzeba być nawet 3-4 razy w tygodniu.

- Dużo się mówi o chorobach, na jakie narażone są pszczoły, i że sporą część czasu w pasiece pszczelarz poświęca właśnie na walkę z tymi chorobami.

Walcymy z różnymi pszczelimi chorobami od lat. Najstarsza był i jest zgnilec amerykański lub europejski. Nie wnikając w szczegóły, to choroba bakteryjna atakująca czerw (jedna z form rozwoju pszczoły). Kiedyś skutecznym sposobem leczenia było podawanie antybiotyków. Dzisiaj już nie można stosować takiej terapii; została zabroniona z uwagi na to, że ślady antybiotyku w miodzie można stwierdzić nawet kilka lat po jego zastosowaniu. Na tę chorobę obecnie istnieje tylko jeden lek – spalenie zainfekowanej rodziny. Jest to regulowane prawnie i przeprowadzane w porozumieniu z powiatowym lekarzem weterynarii. To choroba zwalczana z urzędu. Każdy, kto ją stwierdzi w swojej pasiece, musi taki fakt zgłosić do służb weterynaryjnych. Koszty likwidacji rojów wraz z ulami pokrywane są z budżetu państwa, a pszczelarz otrzymuje również częściową rekompensatę za straty poniesione w związku z likwidacją uli.



Pan Marian z żoną Elżbietą przy pracy w pasiece

Fot. Arch. Mariana Maksymca

- Głośno wszędzie o innej chorobie pszczoł. Czym jest waroza?

To wyzwanie, z jakim światowe pszczelarstwo spotkało się w latach sześćdziesiątych. W Polsce waroza pojawiła się dwadzieścia lat później i była szokiem dla pszczelarzy. Ten niewielki pajęczak, atakujący zarówno czerw, jak i dojrzałe owady, potrafi w ciągu jednego sezonu zabić całą rodzinę, a w konsekwencji pasiekę.

- Nie ma nie niego sposobu?

Aż tak źle nie jest. Gdyby nie było, dzisiaj nie mielibyśmy już pszczoł. Przez kilkadziesiąt lat pszczoły i my pszczelarze nauczyliśmy się żyć z warozą, to znaczy nauczyliśmy się, jak z nią walczyć. Nie udało się na razie znaleźć skutecznego sposobu na zapobieganie chorobie, ale objawowo potrafimy ją likwidować. Najskuteczniejszym i w zasadzie jedynym sposobem jest stosowanie środków (odymienie ula od wewnątrz specjalnym preparatem), które powodują śmierć tych szkodników. Oczywiście możemy stosować te preparaty tylko w określonych okresach, kiedy pszczoły nie prowadzą intensywnej produkcji miodu przeznaczonego do celów handlowych.

- Zagrożeniem dla pszczoł jest także stosowanie środków ochrony roślin.

Samo stosowanie środków ochrony roślin nie jest problemem. Ważny jest sposób i czas, w jakim się to robi. Rolnik, aby uzyskać odpowiednie zbiory, musi stosować takie zabiegi. Chodzi tylko o to, aby wykonać je w czasie, kiedy pszczoły przebywają w ulu. Dzisiaj te preparaty mają bardzo krótki okres karencji, trwający kilka godzin, po którym są już dla owadów nieszkodliwe. Tak więc z punktu widzenia pszczelarzy opryski dobrze byłoby wykonywać późnym wieczorem, żeby do rana, gdy pszczoły wylatują z ula, nie były narażone na niebezpieczeństwo. Da się pogodzić interes rolnika z interesem pszczelarza.

- A jak układają się stosunki z lubiącym miód niedźwiedziem?

Mimo że jest go w Bieszczadach najwięcej w Polsce, to jakoś dajemy sobie z nim radę. Początki były trudne. Pszczelarze próbowali odstraszać niedźwiedzie, zostawiając na noc włączone odbiorniki radiowe, czy też puszki z karbidek, które miały „zabić” zapach miodu. Te sposoby nie były jednak skuteczne. Podobnie jak budowa ogrodzeń z drutu kolczastego. Misię skutecznie podkopywał się pod ogrodzeniem. Dopiero zastosowanie pastucha elektrycznego okazało się dobrą metodą na zniechęcenie niedźwiedzia do wizyt w pasiekach. Zdarzają się szkody wyrządzane przez tego drapieżnika, ale nie są one tak częste, jak kiedyś.

- Czy Bieszczady są miodnym regionem?

Są specyficznym regionem ze względu na występowanie charakterystycznych pożytków. U nas, w przeciwieństwie np. do Lubelszczyzny, nie ma dużych arealów uprawowych. Jeszcze dwadzieścia, trzydzieści lat temu, kiedy funkcjonowały PGR-y, a indywidualne gospodarstwa rolne też były w lepszej kondycji, jak okiem sięgnąć rozciągały się pola uprawne. Wiosną główną bazą były kwitnące pola rzepak. Dzisiaj, aby pozyskać taki miód, musimy wywozić nasze pasieki w okolice Przemysła, do Fredropla. Robimy to, chociaż bez ekonomicznego uzasadnienia. Chcemy mieć w swojej ofercie dla klienta i taki gatunek miodu. Do historii przeszły też nasze kwietne łąki, na których pszczoły zbierały nektar. Aby taka łąka mogła istnieć, potrzebni są rolnicy, którzy uprawiają ją i koszą. A tych u nas już prawie nie ma. Gatunkiem bardzo miododajnym, którego obecnie już niewiele, jest mniszek lekarski, dający doskonały pożytek pszczołom.

- W takim razie z czego nasze pszczoły pozyskują materiał?

Generalnie bazują na naturalnych

zasobach. Na wiosnę to wierzba iwa, jawor, klon. Są też drzewa owocowe, w tym te stare, pozostałe jeszcze po opuszczonych wsiach. Naturalne źródła są atutem, ponieważ nasi pszczelarze oferują naturalny, autentyczny, ekologiczny produkt. Decydującym czynnikiem uzależniającym czy wiosna będzie miodna, czy nie, jest wystąpienie przymrozków. Zdarza się, że w połowie maja „zimni ogrodnicy” redukują nam pożytki o pięćdziesiąt, a nawet więcej procent.

- Mówi się, że prawdziwe żniwa dla tutejszych pszczelarzy są wtedy, gdy pojawia się spadz.

Faktycznie, ratunkiem dla naszych pszczelarzy jest spadz. Jeśli wystąpi w lipcu i sierpniu, należy mówić o udanym sezonie. Ale na taki prawdziwy spadziowy sezon można liczyć raz na kilka lat. Wtedy od mocnej rodziny można zebrać nawet trzydzieści, czterdzieści litrów miodu. Tyle że i jody, będącej środowiskiem dla mszyc, producenta spadzi, jest u nas coraz mniej, co niestety zawdzięczamy też gospodarce leśnej.

- Pszczelarstwo to hobby czy biznes?

Wszystko zależy od tego, czego oczekujemy od pszczelarstwa. Na pewno musi to być pasja. Bez niej nie da się prowadzić pasieki. Można mieć kilka pni i miodu na potrzeby własne i najbliższych. Można mieć wielkotowarowe pasieki, z których żyje większa rodzina. Ale to wymaga dużych nakładów i ogromnej pracy. No i oczywiście trzeba wziąć pod uwagę, że w jednym roku jest lepiej, w innym gorzej. Ale tak per saldo na przestrzeni kilku lat na pewno nie dopłaca się do „interesu”. Znam pszczelarzy, którzy żyją z pszczelarstwa. U nas w kole takich nie ma, ale już na przykład w Lesku jest kolega, który zajmuje się pasiecznictwem zawodowo.

- Często słyszy się o tzw. ziołomiodach. Czym różnią się od „prawdziwego” miodu.

Oryginalny miód to produkt pracy pszczoł wytworzony w sposób naturalny, z pożytku, który zbierze pszczoła i go przetworzy. Ziołomiody to specyfiki tworzone przy wspomagananiu człowieka. Taki produkt powstaje na bazie przygotowanego syropu. Na przykład parzy się młode gałęzie jodły, a następnie dodaje do wywaru cukier i tym karmi się pszczoły. Podobnie można przygotować syrop z innych roślin i ziół. Syrop podawany pszczołom do ula powoduje, że owady pracują bardzo intensywnie i nie muszą za bardzo nawet opuszczać ula.

- Czy to prawda, że prawdziwy miód po pewnym czasie powinien się skurczyć, co jest dowodem na jego oryginalność?

Tak, chociaż nie do końca. Przechowywany w warunkach pokojowych miód powinien ulec krystalizacji. Jeśli jednak podgrzejemy go do temperatury powyżej czterdziestu stopni, zmieni swoją konsystencję i nie będzie już w stanie się skurczyć, tracąc przy tym prawie wszystkie właściwości.

- Polski Związek Pszczelarzy powstał ponad sześćdziesiąt lat temu. Od dawna działa terenowe koło w Ustrzykach Dolnych. Ile liczy członków i czym się zajmuje?

Kiedys w kole było ponad stu dwudziestu członków. Obecnie jest około dziewięćdziesięciu, czyli nie tak mało. Na ponad sześćdziesiąt kół w województwie podkarpackim jesteśmy klasyfikowani na piętnastym miejscu pod względem liczby osób zrzeszonych, pni i odprowadzanych składek. Głównym zadaniem stowarzyszenia jest pomoc w prowadzeniu pasiek i opieka nad członkami koła. Z funduszy unijnych mamy programy, w ramach których prowadzimy szkolenia dla pszczelarzy. Otrzymujemy również pieniądze, z których refundujemy leki, zwłaszcza na warozę. Z tych funduszy możemy również otrzymać dotacje na modernizację pasiek. W ostatnich latach generalnie poprawiły się warunki techniczne w pasiekach. Pszczelarze musieli dostosować je do nowych wymagań sanitarnych. Jeszcze nie tak dawno większość miodarek wykonana była z blachy ocynkowanej. Miód przechowywany był w bankach na mleko. Dzisiaj to nie do pomyślenia. Wirówki i inne urządzenia metalowe są wykonane z chromoniklu. Wiadra i pojemniki na przechowywanie miodu – z plastiku, z atestem dopuszczającym do kontaktu z żywnością. Chcąc sprzedawać miód, musimy zachować wysokie standardy sanitarne. Rokrocznie dysponujemy kwotą około sześćdziesięciu tysięcy złotych na dofinansowanie modernizacji i doposażenia pasiek. Z tej puli zwracamy pszczelarzowi do sześćdziesięciu procent poniesionych przez niego nakładów.

- Kierowcom życzy się szerokiej drogi, żeglarzom – stopy wody pod kilem. Czego życzy się pszczelarzom?

Dobrej pogody i dobrych pożytków. Bez tych dwóch warunków najlepszy i najbardziej pracowity pszczelarz nie nie zrobi.

- Dziękuję za rozmowę.

ADAM LEŃ

- Będę grał do momentu, kiedy utrzynam w rękach pałeczki – stwierdził w jednym z wywiadów. W połowie czerwca ukazał się jego album „Wolność”. 27 lipca w wieku 66 lat odszedł Michał Giercuskiewicz „Gier” – muzyk, perkusista legendarnego zespołu Dżem. Ostatnie ćwierć wieku spędził głównie w Bieszczadach.

Skojarzenie Michała jedynie z Dżemem byłoby zubożeniem jego kariery artystycznej. Dżem na pewno był najważniejszym etapem w jego życiu, ale ani pierwszym, ani ostatnim.

„Gier,” jak mówili o nim przyjaciele, urodził się w inteligentnej rodzinie na Śląsku. Jego wuj, nauczyciel szkoły muzycznej, pierwszy wprowadził go w arkana muzyki. Następnie chłopak zaczął uczęszczać do szkoły muzycznej. Bardzo szybko okazał się biegłym instrumentalistą, a zwłaszcza perkusistą. Jeszcze w szkole średniej Ireneusz Dudek „załatwił” mu doświadczenie do Waweli. Nie była to co prawda muzyka jego życia, jednak biorąc pod uwagę aspekt materialny, chyba już nigdy nie wiodło mu się tak dobrze.

- Graliśmy trzy koncerty dziennie. Z reguły w halach produkcyjnych i zakładowych domach kultury. Maszyny zatrzymywano, produkcja – stop i załóżcie fundowano koncert „Ludziom Dobrej Roboty”. Półtoragodzinny koncert i do następnej fabryki. Forsy mieliśmy jak lodu – wspominał tamten czas Michał Giercuskiewicz.

Jak to w przypadku młodych muzyków, pierwszy etap muzykowania był burzliwy. Grał w kolejnych zespołach:

kolejnej płyty w Poznaniu. Michał na błagania Ryśka Riedla wyjechał na Śląsk, aby załatwić prochy. Trochę to trwało. Kiedy wrócił, dowiedział się od zespołu, że już w nim nie jest. Nie pomogły nawet usilne prośby i wstawianictwo Ryśka. „Gier” musiał odejść.

Wyrwać się z nałogu

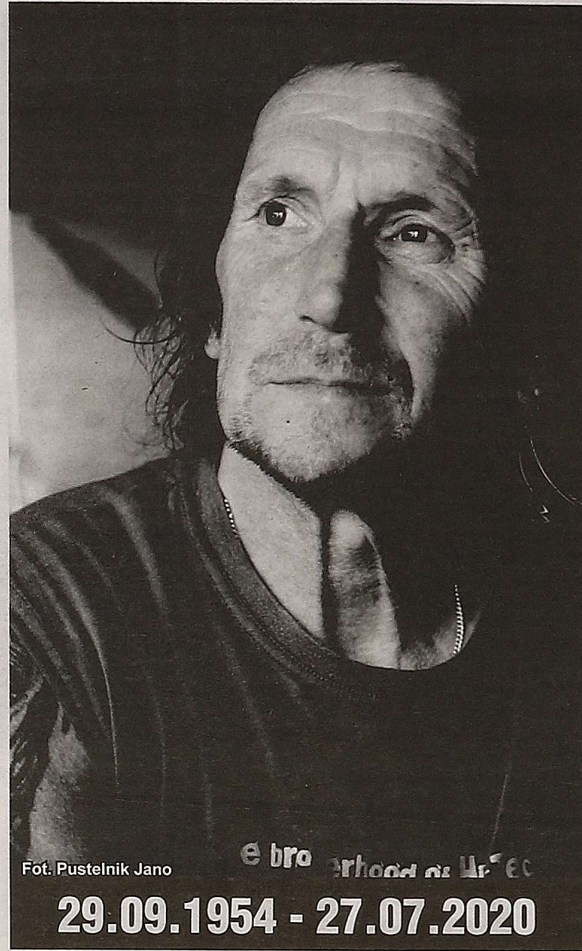
Po „dżemowym” okresie Giercuskiewicz grywał w różnych formacjach, często zapraszany jako muzyk sesyjny do zespołów: SBB, Cree, Bezdomne Psy, Śląska Grupa Bluesowa, Jan i Józef Skrzek, Loco Richter, Elżbieta Mieleczarek.

Rozbrat z Dżemem nie oznaczał zerwania z Ryśkiem. Kiedy w Michale coraz częściej dojrzywała myśl, aby rzucić narkotyki, Ryśiek kroczył w otchłań nałogu. W 1994 roku usunięto z Dżemu Riedla, wkrótce potem dopadła go śmierć.

- Mnie się udało, jemu nie. Odszedł za szybko – twierdził Michał. - Chciałem go wziąć do siebie do Teleśnicy, nie zdążyłem. Z tym poczuciem niespełnienia Giercuskiewicz żył prawdopodobnie do końca.

- W filmie TVP Rzeszów „Blues na tratwie” autorstwa Andrzeja Potockiego, powiedział: „Walczyłem z tym bardzo długo – 25 lat, to jest ćwierć wieku... Kiedyś zastanawiałem się nad tym. Nigdy nie byłem na żadnym odwyku, na żadnym detoksie, wiedziałem, że to jest gówno, widziałem, jak oni wracali z tych detoksów, było jeszcze lepiej, bo poznawali szerszy krąg ludzi, którzy wiedzą, o co chodzi. A ja naprawdę chciałem z tym skończyć. Zasrałem sobie pół życia przez to” – oceniał narkomanie.

Wychodzenie z nałogu trwało u



Fot. Pustelnik Jano

29.09.1954 - 27.07.2020

Tutaj znalazł lek na życie

Kwadrat, Apogeum, Krzak. Blues stał się dla niego sensem i sposobem na życie. W Kwadracie wyprzył go Ryszard Riedel, lider Dżemu. W ten sposób „Gier” w 1981 roku dołączył na pięć lat do zespołu.

Grali i ćpali

Michał i Ryśiek błyskawicznie znaleźli płaszczyznę porozumienia. Połączyli ich blues i dragi. Giercuskiewicz z narkotykami zaczął eksperymentować tak samo wcześniej jak z muzyką. Już w wieku 17 lat miał za sobą doświadczenia w tej materii. Ryśiek też nie był „w tym „fachu” debiutantem. Efektem pięcioletniej współpracy Michała z Dżemem były trzy płyty, w tym najważniejsza, zdaniem krytyków, „Cegła”.

Narkotyki nie zawsze idą w parze z twórczością artystyczną. Jeśli kolejność była: pierwsza muzyka, a następnie dragi, jeszcze jakoś to mogli ogarnąć. Ale często preferencje były odwrócone i najpierw prochy, a potem muzyka. Skutek? Napiećca w zespole. Reszta składu Dżemu była czysta, nie brała. Z biegiem czasu Michał z Ryśkiem stali się problemem dla kapeli. Trzeba było odwoływać koncerty bądź nagrania.

Czasami dochodziło do sytuacji ekstremalnych. Na jednym z koncertów, będący na głodzie Michał zwiłmiał na perkusję i kilka ostatnich utworów grał w mało korzystnym anturazie. Innym razem pobudzony narkotykami rzucił się z wysokości kilku metrów ze sceny. Cudem tylko skończyło się na siniakach.

Kroplą, która przelała czarę goryczy i zakończyła współpracę Giercuskiewicza z Dżemem, była sesja nagraniowa



Koncert Śląskiej Grupy Bluesowej w sierpniu 2017 roku w barze „U Bolka” w Teleśnicy. Za perkusją Michał Giercuskiewicz Fot. Michał Neroj

Michała lata. Wiele razy wydawało się, że już jest na dobrej drodze, ale tylko się wydawało. Stracił rodzinę, odeszła żona – to były wydarzenia, które zapisał po stronie pasywów swojego życia.

Bieszczady – lek na życie

Zanim zamieszkał w Bieszczadach na stałe, bywał tu wielokrotnie. Zatrzymał się u Krzysztofa Brossa, którego żoną była Hanka, kuzynka Michała. - Przyjeżdżał do Sannej do mojego gospodarstwa. Często pomagał przy sianokosach. Ta fizyczna praca była mu potrzebna w zmaganiu z nałogiem. Pewnego razu przyjechał z całym workiem makówek, aby je spalić. To miał być taki symboliczny akt zerwania z przeszłością. Kiedy likwidowałem ga-

raż w Katowicach Michał pomagał mi w przeprowadzce, wożąc mój dobytek busem. Nie przeskadzał mu w tym fakt, że nie miał prawa jazdy, które mu zabrano. Taki Easy Rider – mówi Krzysztof Bros.

W końcu w 1996 roku postanowił zakotwiczyć w Bieszczadach na dobre, nie tylko w przenośni. Marzył mu się mały domek, skończyło się na zacumowanej w Zatoce Teleśnickiej tratwie.

W lecie łódka, zimą po lodzie – tak docierał do swojej przystani. W innym miejscu w filmie „Blues na tratwie” mówił: „Tutaj jest totalna cisza. Na początku nie mogłem się przyzwyczaić. Myślałem – czy ja jeszcze żyję, a może dostałem już zawał. Nie, to była tylko cisza. Zwłaszcza zimą jest przejmująco

cicho. Słyszysz jak ci krew płynie”. Być może to właśnie ta cisza była dla Michała terapeutyczna i stała się jednym z elementów, które pozwoliły mu na zerwanie z nałogiem.

Z rozrównieniem Michała wspomina Pustelnik Jano - Kiedy przychodziłem do niego, to zawsze częstował pachnącą dymem herbatą, która spokojnie wędziła się na palenisku i puszczał na starych odtwarzaczach hippisowską muzykę. Pamiętam jak kiedyś znalazł błąd w grze jednego perkusisty, potrafił wylapać każdy – nawet u najlepszego muzyka. Michał zawsze chciał mieszkać blisko natury, w jedności z przyrodą, by uciec od śląskiego zgiełku, w którym się wychował. Kiedyś opowiadał, jak wyszedł na „ganek” swojej tratwy, a

kilka metrów od niego zebrały się wilki. Patrzyli na siebie długo, nie uciekały... Wyczuły w nim dobrego człowieka. Był naprawdę dobrym człowiekiem. Życzliwym i gościnnym.

Jako ciepłego i opiekuńczego człowieka wspomina Michała Agnieszka Łesak-Neroj, pochodząca i przez lata mieszkająca w Teleśnicy Oszwarowej. To dzięki Michałowi folkowy zespół, w którym śpiewała wraz z Krzysztofem i Zbigniewem Fundaniczami, otarł się o świat muzyczny.

- Do Michała często przyjeżdżali jego znajomi ze Śląska, muzycy i przyjaciele. W świetlicy w Teleśnicy na małej scenie Michał miał rozstawioną perkusję. W wolnej chwili ćwiczył. My też pod jego okiem graliśmy. Nie było problemu, że on to bluesman, a nasza muzyka to folk. Muzyka nas łączyła, a Michał zawsze służył radą i pomocą. Uczył nas naturalności na scenie, a także tego, że każdy koncert to opowieść, którą przekazujemy publiczności. Zawsze na Michała można było liczyć. Do anegdoty przeszedł występ zespołu na jednej z lokalnych imprez regionalnych, kiedy to Michał „Gier” ratując nas z problemu nagłej nieobecności perkusisty, przywołany w regionalny strój gra z nami piękny i energiczny folkowy koncert. On, stary bluesman, bez problemu odnalazł się w bieszczadzkiej klimacie muzycznym. Do dziś nie wiem, jak udało się to zrobić, byłem szczerze wzruszona i zachwycona postawą naszego przyjaciela – wspomina Agnieszka Łesak-Neroj.

Dzięki „Gierowi” młodzi muzycy z Teleśnicy wyjeżdżali z koncertami na Śląsk. Michał zorganizował minitrasę koncertową dla swoich przyjaciół z Bieszczadów, zawsze towarzysząc im i dbając o organizację wyjazdu.

- Kiedy dowiedziałam się o śmierci Michała, przed oczami zaczęły przebiegać sceny i wydarzenia sprzed lat. Jedno szczególnie tkwiące w mojej głowie. W świetlicy w Teleśnicy Michał organizuje swoje urodziny. Jest sporo gości, jego znajomych i przyjaciół z całej Polski. W pewnym momencie Michał ucisza wszystkich i zapowiada: - A teraz „opowiem” wam bajkę na perkusji – gasną jasne światła, „Gier” zamyka oczy, a spod jego dłoni na perkusji wychodzą czaradzieskie dźwięki. Wszyscy słuchamy, a on opowiada nam pewną piękną historię... Takim właśnie chcę go zapamiętać – kontynuuje wspomnienia pani Agnieszka.

Ostatni okres życia Michała to walka z nieuleczalną chorobą. W przemian leczył się w szpitalu lub przebywał pod opieką siostry. - Wielokrotnie dzwoniłem do niego w tym trudnym czasie. Rozmawialiśmy. W pewnym momencie przestał odbierać telefony. Przechywał, że zbliża się koniec. Mimo to, trudno uwierzyć – mówi Eugeniusz „Siczka” Olejarczyk z KSU.

Bagaż doświadczeń

Wielu, którzy spotykali Michała, a nie kojarzyli go z Dżemem, odnosiło wrażenie, że mają do czynienia z człowiekiem może nie marginesu, ale jednak trochę outsidera. Dopiero rozmowa z nim uświadamiała im, że stoi przed nimi człowiek wrażliwy, inteligentny, z ogromnym bagażem życiowych doświadczeń.

Mało kto wie, że był jednym z kilku polskich muzyków, którzy w 2010 roku zagrali koncert z BB Kingiem, a to jest miara sukcesu artystycznego. W 2016 roku w Białymsztoku odsłonił w Alei Bluesowej swoją tabliczkę.

27 lipca Michałowi wypadły z rąk pałeczki perkusyjne...

ADAM LEŃ

Otylia Nanowska jesienią 1939 roku wyszła z dworu pod Kamienną Lawortą i nigdy nie wróciła. Współczesnym jest tak samo nieznaną, jak miejscowi przedwojenni burmistrzowie i rabini. Czas przez lata zacierał ślady jej życia, ale szczęśliwie nie do końca.

Maria Szczepeńska, rocznik 1927, widzi dwór w otoczeniu drzew. Jasne pokoje, sypialnię właścicielki, służbówkę. Otwarte latem okna, werandę. Słyszy gwar rozmów, śmiech, brzęk zastawy stołowej. Czuje zapach ciasta i świeżo parzonej kawy. A gdy wyteży zmysły, dochodzi do niej woń boczków i kielbas z dworskiej spiżarni. Maria, jeśli chce, przenosi się w czasie, żeby jeszcze raz przeżyć, co przeżyte.

Współt z Rusinami i Żydami

Mieszka z rodzicami – Włodzimierzem i Eugenią – oraz bratem Zdzisławem w kamienicy przy stacji kolejowej. Ojciec jest dyżurnym ruchu. Dziewczynka codziennie widzi przejeżdżające pociągi, słyszy gwizd lokomotywy i buchającą z kominą parę. W tym samym budynku żyją też inne kolejarские rodziny, a na parterze mieści się poczta. To nie byle jaka kamienica, stoi do dziś, chociaż z zartą przeszłością.

No więc Maria mieszka, bawi się na podwórku, ma mnóstwo kolegów i koleżanek. Grają w guziki, w klipę, wspinają się na płoty. Czasami biegnie przez tory do Żydówki Weissówny albo do mieszkającej dalej Rusinki Hukiewiczówny. Do połowy lat trzydziestych nikt nie używa terminu: Ukrainiec, Ukrainka. Miejscowi grekokatolicy to Rusini. Maria, ot paradoks, ma na nazwisko Ukrainka, choć od korzenia jest Polką. Niektórzy nie mogą tego pojąć, zaczynają dopytywać, robić przytyki. Po namyśle rodzice podejmują decyzję o zmianie nazwiska. Załatwiają niezbędne formalności i odąd Maria i cała rodzina to już Lipsy. Także za namową Otylii Nanowskiej.

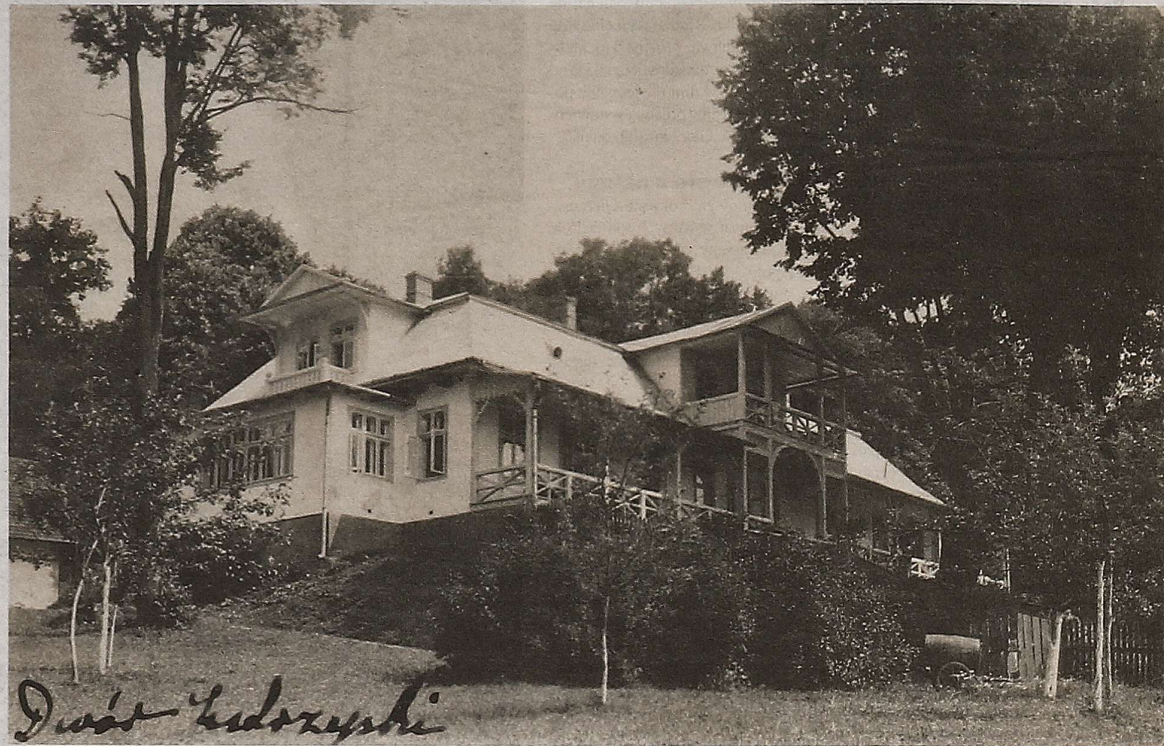
Kiedy dziewczynka idzie do drugiej klasy, rówieśnicy są zaskoczeni. W pierwszej klasie nazywała się inaczej, a teraz inaczej? W czym Lipsy są lepsi od Ukrainkich? Niezego nie tłumaczy, choć czuje wokół napięcie i widzi podejrzliwe spojrzenia. Z czasem wszyscy się przyzwyczajają, choć dawne nazwisko jeszcze wypłynie, i to w najgorszym czasie.

Śmietanka towarzyska

Weźniej i później Maria jest stałą bywalczynią dworu pod Kamienną Lawortą. Od 1926 roku ciocia Otylia, z domu Trzcinańska, wdowa po sędzim Zdzisławie Nanowskim, zarządza majątkiem nie gorzej niż zmarły mąż. Ma do pomocy służbę, kilkoro przyjaciół, lecz najbardziej ufa sobie oraz Eugenii Lipskiej, która na jej prośbę załatwia sprawy w urzędach i bankach, także w Przemysłu i Borysławiu. Nanowska objeżdża Ustrzyki bryczką zaprzęzoną w dwa konie, dogląda łańców pszenicy, która rośnie od dzisiejszego kina „Orzeł” aż po skrzyżowanie z ulicą Fabryczną. Tu, gdzie teraz osiedle Mickiewicza, komenda policji i sklepy, nie ma nic oprócz morza złotej pszenicy. Naprzeciwko stoi kościół filialny parafii w Jasieniu, potem tartak i coś jeszcze, ale nic szczególnego.

Dopiero dalej rozciągają się zabudowania rafinerii nafty „Fanto”. To tam skupia się życie przemysłowe miasta, zupełnie inne niż w rynku, gdzie wokół budy i budki żydowskich handlarzy, dwie synagogi, kilka kamienic, a pośrodku rynsztok. Kiedy kilka dni pada, główna ulica zamienia się w błotnisty trakt. Tym traktem codziennie przemykają miejscowi oraz przyjeźdni kwaterujący w hotelu „Wanda”. Potem długo muszą czyścić obłożone buty, żeby nazajutrz znowu je ubrudzić. Do utwardzonej szosy jeszcze daleko.

Otylia Nanowska ma związki ze śmietanką towarzyską Ustrzyk Dolnych: szefem rafinerii, adwokatem, lekarzem, sędzią. Gości ich u siebie we dworze. W salonie albo na ganku toczą się rozmowy o bieżących wydarzeniach



Dwór Otylii Nanowskiej w Ustrzykach Dolnych. Widok od strony południowo-wschodniej, rok 1939

Zawiłe losy Pani



Otylia Nanowska w Słupsku, przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych

politycznych i gospodarce. Ale też o rzeczach mniej ważnych, będących składową codzienności. Maria ma pięć, siedem, dziesięć lat, biega między dorosłymi albo siada na schodach i przysłuchuje się dysputom. Ciocia Otylia

ją lubi, dlatego wciąż zaprasza i podsuwa smakołyki. Stałym bywalcem dworu jest Zdzisiek; bogata krewna widzi w nim przyszłego dziedzica, uczy go wszystkiego, co będzie niezbędne w przyszłości. W pewnym okresie

chłopiec mieszka w domu pod Kamienną Lawortą na stałe. Potem jedzie na nauki do gimnazjum ojców Jezuitów w Chyrowie.

Zapachy dworu

Marysia zna stary dwór jak własną kieszeń. Każde pomieszczenie, wystrój i klimat. Zna też oborę, stajnię, chlewnię, kurnik, zbożownię, kierat, drewnię. Domek karbowego Jana Woźnego i oficynę, w której z kilkoma kotami mieszka starszka Popiel, krewna świętej pamięci Zdzisława Nanowskiego. Jest schorowana; trzeba jej pomagać, nosić wodę, palić w piecu. Potem także karmić.

Na łąkach u podnóża Laworty pasą się dworskie krowy, lecz największą uwagę zwracają konie – czystozone codziennie przez parobka, pojone i karmione wedle najlepszych wzorców. Tymi końmi dziedziczka Nanowska jedzie co niedzielę do kościoła w Jasieniu; najpierw drózką w dół, potem brodem przez Strwiąż, dalej już ulicą. Siada w swojej ławce i modli się o pomyślność. Po mszy zamienia parę zdań z wiernymi, a potem wraca do domu, gdzie kucharki rzychtują obiad. Ma być dwudaniowy, elegancko podany, bo przy stole zasiądą zaproszone osoby.

We dworze są dwie kuchnie, z dwóch stron budynku – jedna dla gospodyni i jej bliskich, druga dla zatrudnionych w majątku. Do Ustrzyk na wypoczynek zjeżdżają znajomi lub obcy z polecenia znajomych. Lekarze, nauczyciele, nawet profesorowie wyższych uczelni. Głównie ze Lwowa i Lublina, czasami też z Krakowa. Latem spacerują po wzgórzach, piknikują nad rzeką, zimą zaś uczą się jazdy na nartach. Pierwsze kroki stawiają na terenie płaskim, poniżej dębowego lasu, później podchodzą coraz wyżej i szusują w dół ze wzniesienia obok dzisiejszej ulicy Zielonej. Nad bezpieczeństwem kursowiczów czuwa instruktor.

Wieczorami goście grają w karty i szachy, słuchają muzyki z patefonu. Niektórzy zagłębiają się w lekturze ilustrowanych czasopism. Gdy towarzystwo jest mieszane, bywają i tańce, choć miejsca nie za wiele. Co innego u Kłagów przy głównej ulicy miasta. Prowadzony przez nich hotel „Wanda” ma dużą salę balową, organizowane są w niej przyjęcia, zabawy karnawałowe. Niektórzy goście Nanowskiej chcieliby spać we dworze, ale brakuje miejsca. Jest tylko salon, jadalnia i dwa pokoje właścicielki. Dlatego mieszkają w hotelu bądź w innych polecanych kwaterach.

Wymagająca, lecz sprawiedliwa

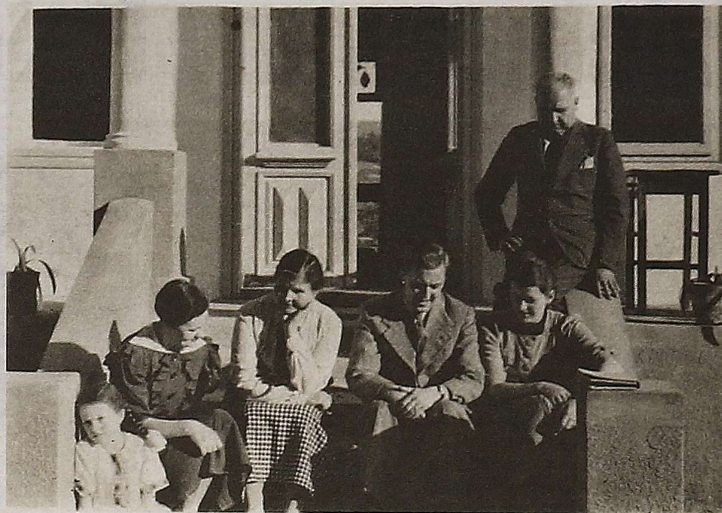
Sprzed majątku pod szczytem Laworty roztacza się panorama na Ustrzyki. Można liczyć domy, urzędy, świątynie. W dole płynnie meandrami Strwiąż, łąki przy nim są regularnie koszone. Dziś się Park pod Dębami to dawny obszar dworski. Żeby zorganizować uroczystości lokalne lub państwowe, trzeba mieć pozwolenie Otylii Nanowskiej. Nie zawsze od razu jest przychylna, złości się, że tłum niszczy grunty, ale po prośbach zwykle ulega. Sama też niekiedy uczestniczy w festynach. Nie pozuje na wielką panią, nawet na taką nie wygląda, lecz wszyscy muszą się liczyć z jej zdaniem.

Uchodzi za osobę wymagającą, chwilami nawet zbyt surową. Maria pamięta jednak ciotkę uśmiechniętą; chętnie rozmawia, pozuje do pamiątkowych fotografii, stać ją na dowcip. Inni uważają, że nie ma w sobie dość kobiecego ciepła. Podejrzewają, że dlatego, iż nigdy nie urodziła dzieci. To być może jej osobisty dramat, ale z nikim się nim nie dzieli. Najwyżej roztrząsa w zaciszu własnego pokoju.

W połowie lat trzydziestych Nanowska podejmuje decyzję o budowie nowego dworu. Ma stanąć nieco wyżej niż obecny, choć do lasu na Kamiennej Laworcie jeszcze kawałek. Teraz rośnie niżej, kiedyś wysoko, a pod nim rozciągają się pola uprawne. Takie same, jak na stokach Gromadzynia i innych wzgórz wokół Ustrzyk, na których codziennie widać pracujących chłopów. Górska ziemia nie jest najlepsza, ale da się z niej wycisnąć owoce.

Budynek jak malowanie

No więc trzeba wnieść lepszą siedzibę, z dobrej jakości drewna. Robotnicy zwawo przystępują do



Na schodach dworskich. Dziewczynka u dołu to Marysia Lipska, druga połowa lat trzydziestych

nie wychodzi. 12 września Niemcy wkraczają do Ustrzyk, zaczynają polowanie na ludzi. Żydzi płaczą, Ukraińcy się cieszą. Gdy Maria spotyka na ulicy koleżankę z klasy, ta mówi do niej już po ukraińsku, nie po polsku. I dopowiada, że za chwilę w Ustrzykach będzie już Ukraina. Polacy pójść precz.

Hitlerowcy robią rewizje; w poszukiwaniu polskich żołnierzy, kolejarzy, pocztowców

przetworów. Kradną narzędzia i drobne sprzęty, wszystko, co wpadnie im w ręce. To samo robią w miejscowych sklepach.

Weźniej Lipscy są świadkami wizyty żołdatów w dworze. Razem z mundurowymi przychodzi kilku tutejszych żydowskich i ukraińskich komunistów. Oraz jeden Polak. Są pewni siebie, arogancji. Nanowska niektórych zna z widzenia. Oznajmiają jej,

stawie siedmiu żołdatów wypytuje, gdzie jest właścicielka dworu. Matka Marii nie puszcza pary z ust, dzieci też milczą, ojca nie ma. Dzięki temu Nanowska i Peterkowa unikają wywózki na Syberię. Wielu innym Polakom (a także Ukraińcom) się nie udaje. Odjeżdżają na Wschód w bydłych wagonach. Po latach do kraju wrócą nieliczni.

Po kilku miesiącach od ucieczki Nanowska opuszcza Sambor i jedzie do Lwowa. Tam gubi za sobą ślad. Prześladowcy jeszcze chwilę węszą, potem, po inwazji Niemiec na ZSRR, już nie. Pani na Ustrzykach we względny spokój docekuje końca wojny u rodziny Mińskich. Chce wrócić do Ustrzyk, ale miasto jest już radzieckie. Nie wie, że w 1944 roku Ukraińcy podpala ją dwór. Może by ocalał, ale wtedy w Ustrzykach trwa bezhołowie. Niemców już nie ma, Sowieci jeszcze na dobre nie wkroczyli. Z majątku zostają zgłiszczą, ziemia trafia do chłopów. Również Lwów jest radziecki, więc i tam Otylia Nanowska nie zazna spokoju.

Nowe życie w Polsce

Przedostaje się do kraju. Podobnie jak Lipscy osiada w Słupsku. Maria mieszka z rodzicami, bratem i ciotką w jednym domu. W 1951 roku nadchodzi wiadomość o powrocie Ustrzyk w granice Polski. Kto chce, może pakować dobytki i jechać, ale to nie takie proste. Do czego, po co? Wszystko zniszczone, rozkradzione. Wprawdzie kamienica przy stacji wciąż stoi, lecz w dawnych pokojach Lipskich teraz inni lokatorzy. Kto ich stamtąd usunie, na jakiej podstawie? To już zresztą inne Ustrzyki – autochtonów na lekarstwo, nie działa rafineria, fabryka mebli, hotel „Wanda”. Nie ma Żydów ani Rusinów. Nie jest takie, jak przed wojną. W miejscu spalonego dworu trawa i krzaki, łąki nad Strwiążem zarośnięte, a dęby cięte przez nowych osadników na beczki. Najwięcej jest przesiedleńców z Buga, ale są też ludzie z nakazu pracy i ci, którzy przybyli w góry dobrowolnie. Społeczność mocno pomieszana, której nic nie łączy. Z czasem jednak wspólnymi siłami podniosą miasto z ruin, wygrzebią je z błota. I zapuszczą korzenie, jak nigdyś ich poprzednicy.

Otylia Nanowska mieszka i pracuje w słupskim domu dziecka jako gospodarka; wraz z nią Zdzisław, brat Marii, który pomaga przy różnych pracach wychowawcom. Kiedy w placówce przypadkiem dowiadują się o pochodzeniu Nanowskiej, każą jej opuścić gmach i pozbawiają pracy. Nikt nigdy się nie dowie, skąd kierownictwo miało informacje o przeszłości kobiety. Może zdradziła się zbyt dobrymi manierami, a może znalazł się jakiś „zycielny”?

Śmierć w domu pomocy

Maria chodzi do szkoły, Zdzisław także. Później młodzian idzie na studia, lecz po roku je porzucą. Siostra pamięta dzień ślubu brata oraz to, że wkrótce wyprowadza się z żoną do własnego domu i zabiera z sobą ciotkę Nanowską. Mieszkają razem dwie ulice od domu Marii i jej rodziców. Trochę jest dobrze, ale gdy młody Lipski zatracą się w wódce, psują się też wzajemne relacje ze starszą kobietą.

Pakuje walizki i osiada w domu pomocy społecznej w Słupsku, gdzie dostaje osobny pokój. Przychodzą krewni, namawiają do powrotu, ale już nie chce. Nie chce też wspominać o Ustrzykach. Kiedy szefostwo ma jej dokwaterować współlokatorkę, bardzo to przeżywa. Nie godzi się dziełom klitki z kimś obcym, więc znajduje miejsce w podobnym domu opieki w Zwinisławiu pod Białogardem. Tam spędza ostatnie lata życia, odwiedzana czasami przez krewnych. Umiera 2 kwietnia 1967 roku w wieku 85 lat.

Otylię Teklę Nanowską, Panią na Ustrzykach, chowają w skromnym grobie. Krewnym na pamiątkę zostaje kilka zdjęć.

Fotografie z Archiwum Marii Szczepańskiej i Tomasza Szczepańskiego

KRZYSZTOF POTACZAŁA

na Ustrzykach

dzieła i w 1938 roku dwór stoi jak malowany. Taras mieści się od strony południowej, na nim fotele i stół, dalej rozciąga się widok w kierunku Jasienia. Można siedzieć i oddychać powietrzem pachącym lipami. Służba przenosi większość sprzętów ze starego budynku, resztę dziedziczka sprowadza z zewnątrz. Znowu lokuje się na parterze, na piętrze zaś szykuje pokoje dla letników i miłośników narcisów. Cztery na górze, z balkonami, i dwa na dole. Wyposaża je w gustowne meble i toaletki, ale powoli, z rozmysłem. Nie wie, że nadciąga burza dziejowa i że wszystko, co robi, za chwilę straci sens.

Jak przedtem dwór jest pełen ludzi, rozbrzmiewa gwarem i muzyką. Maria Lipska wciąż jest tam stałą bywalczynią, latem zjawia się także Romek Ukraiński, jej kuzyn, który po zdanej maturze spędza w Ustrzykach wakacje. Kiedy ciotka Otylia widzi chudego chłopaka, załamuje ręce; namawia, by poszedł do szpiarni i wziął sobie coś do jedzenia. Romek biegnie i już w wejścia obezwładnia go zapach świeżych wędlin. Na belkach wiszą wędzone szynki, balerony, kielbasy. W beczkach kiszzone ogórki, kapusta. Próbuje po kawalku, a potem opowiada, że czuł „niebo w gębie”.

Lato to żniwa. Nanowska ma mnóstwo pszenicy, żyta. Z pobliskich wsi schodzą się chłopcy i żniwiący na dworskich polach. Właścicielka płaci, ale wymaga. Nie lubi bylejakości, znana jest z tego, że sprawdza wykonaną pracę. Uchodzi jednak na ogół za sprawiedliwą.

Machają kosami Polacy i Ukraińcy, ramię w ramię. Jeszcze gołym okiem nie widać konfliktu, mężczyźni wspólnie piją wieczorami piwo, ale zło już czai się w kątach domów i kielkuje w głowach. Żydzi handlują, niekiedy oszukują, czasami pomagają w biedzie. Wszystko toczy się utartym od dawna rytmem, lecz to już ostatnie chwile spokoju. Z zachodu nadciąga swastyka, ze wschodu sierp i młot. Jedni w to wierzą, inni lekceważą.

Swastyka, sierp i młot

Początkiem września nad Ustrzyki nadlatują samoloty z czarnym krzyżem na skrzydłach. Zrzucają kilka bomb na rafinerię, ostrzeliwiają polski tabor wojskowy na łące nad Strwiążem. Prują na oślep, do wojskowych i cywilów. Maria ogląda nalot akurat z podwórza dworu, ucieka do środka i tego dnia już



Ostatni bal w posiadłości dworskiej pod Kamienną Lawortą. W drugim rzędzie w środku, obok męża - czynny z brodą, właścicielka dworu

przetraszą mieszkania, strychy i piwnice. Przychodzą też do dworu. Nie wyrzucają dziedziczki na bruk, ale zabierają, co im potrzebne. Kiedy z mieszkań i domów wychodzą Niemcy, w ich miejsce zjawiają się Ukraińcy. Wałą także do drzwi Lipskich przy stacji kolejowej. Szukają ojca Marii i dopytują, dlaczego rodzina zmieniła nazwisko. Kiedy weszła na poddasz, Eugenia widzi z okna idącego męża. Daje mu znak, żeby uciekał. Dziesięć minut później napastnicy odchodzą z niczym, ale zapowiadają, że wrócą. Przez następne dni Włodzimierz Lipski ukrywa się z synem na wsi – u znajomych Ukraińców.

29 września do Ustrzyk wchodzi Sowieci. Niektórzy Żydzi się cieszą, większość Ukraińców nie za bardzo. Czerwonarmiści biegają teraz po domach, jak wcześniej Niemcy. Wrzeszczą, rabują, grożą bronią. Któregoś dnia wpadają też do kamienicy przy torach. Lipskich akurat nie ma w domu, ale o dziwo zbrojni nie wlamują się do mieszkania. W zamian pustoszą szpiarnię z miodów, wina,

że w ciągu dwóch godzin ma opuścić dom. Pozostali także. Kobieta słucha nakazu bez cienia strachu. Ale rozumie: życie lub śmierć. Bierze kuferek i wychodzi wspólnie z Lipskimi. Po chwili wszyscy są w kamienicy przy stacji. Do wynajętego w mieście pokoju trafia też z przydworskiej oficyny staruszka Popiel. Marysia i Zdzisiek noszą jej węgiel, pałą w piecu. Któregoś dnia znowu przychodzą, ale kobieta już nie żyje.

Ucieczka przed zesłaniem

Kilka dni po wygnaniu z dworu znajomy Lipskich przynosi wiadomość. Otylia Nanowska jest poszukiwana, musi natychmiast uciekać. Ojciec Marii nie zwleka, wsadza kobiety do pociągu i wywozi do znajomych w Samborze. W to samo miejsce trafia też z dziećmi żona oficera Edwarda Peterka, ze szkoły szybowcowej w Ustjanowej. Gdy uciekinierzy są już chwilowo bezpieczni pięćdziesiąt kilometrów od Ustrzyk, w mieszkaniu Lipskich trwa przesłuchanie. Lejtnant w ob-

Mistrz Zdzichu zwany Pele

Zonglował piłką na siedząco przez cztery godziny, pięćdziesiąt jeden minut i dwadzieścia osiem sekund. Kim jest człowiek, który w wieku sześćdziesięciu czterech lat ustanowił rekord Polski?

Siwy jak gołąb mężczyzna z wąsem stoi za ladą sklepu w Wetlinie. Sezon w pełni, więc ludzie wchodzą i wychodzą non stop. Dźwigają siatki z pieczywem, nabiałem, wędliną. Albo z chemią gospodarczą. Turyści dodatkowo kupują mapy, książki, magnesy. Najchętniej te z motywem bieszczadzkim: wilkiem, niedźwiedziem, górami.

Półki uginają się od towaru, lodówki pełne napojów, a pomiędzy nimi, na ścianie, wielki telewizor. Szef w wolnej chwili lubi oprzeć się o kontuar i popatrzeć w ekran. Nie na łzawe seriale, ale na piłkę nożną. Taką w najlepszym wydaniu. Europejską i światową. Czasami razem z szefem mecze oglądają miejscowi fani futbolu. Przysiadają na plastikowych krzesłach i podziwiają wyczyny swoich idoli. W grupie mecz ogląda się dużo lepiej niż w pojedynkę, buczą emocje, nie milkną komentarze. Czasem komuś wyrwie się nawet mocniejsze słowo, ale nikomu to nie przeszkadza. Wszędzie sami swoi.

Telewizor gaśnie późno w noc, gdy śpi już prawie cała Wetlina. Rankiem siwy mężczyzna mógłby jeszcze poleżeć w rozgrzanym łóżku, ale zamiast tego wdziewa dres i biegnie truchtem na ławkę poniżej sklepu. Łąka jest szeroka,



Zonglowanie w pozycji półleżącej

Fot. Krzysztof Potaczała

piłce, skórzanej i szytej, którą mógłby zabłysnąć wśród chłopaków z sąsiedztwa. Albo przynieść do szkoły, żeby kumpłom oczy zbieleły z zazdrości.

– Zanim się takiej dorobiłem, mięło sporo czasu – śmieje się Zdzichu i przypomina, jak to zbierał butelki na wysypisku śmieci, a ze sprzedaży odkładał grosz do grosza. – Wtedy mieszkaliśmy już z rodzicami przy ulicy

ich pod dostatkiem. Tanich i marnej jakości, które szybko się przecierają i dziurawia. – Aż pewnego dnia moja mama pojechała na wycieczkę do Związku Radzieckiego i przywozła mi stamtąd piłkę wiązaną dratwą – opowiada Zdzichu. – To dopiero była gula! Tłukliśmy nią dość długo, no ale z czasem i ona musiała trafić do śmietnika.

ulicy Kolejowej, w centrum miasta. Ludzie zbudowali boisko w czynnie społecznym, podobnie jak kąpielisko i wyciągi narciarskie.

Zanim zapisze się do sekcji juniorów, koleczy z podwórka nazwą go: Pele. Porównanie ze słynnym Brazylijczykiem nobilituje, choć Zdzichu wie, że to pseudonim na wyrost. W szkole zawodowej Zdzisiek też nie odpuszcza, bo z dzieciństwa wynosi, że do wyników dochodzi się ciężką pracą. Nie jest może uczniem z pierwszej ławki, którego nazwisko widnieje na liście piątkowców, ale też nie takim ostatnim. Można powiedzieć, że mieści się gdzieś pomiędzy, a w sporcie okupuje czołówkę. Jednak na poważnie wchodzi w piłkę nożną dopiero po wojsku, w 1978 roku.

Niemal z marszu dostaje się do kadry klubu Bieszczady Ustrzyki Dolne i zajmuje pozycję na lewej obronie. Przywdziewa koszulkę z numerem 4 i z takim już gra przez kilkadziesiąt lat. W Bieszczadach, a potem w Drzewiarzu, kiedy klub piłkarski sponsoruje Przedsiębiorstwo Przemysłu Drzewnego „Ustjanowa”. Początkiem lat dziewięćdziesiątych klub wraca do dawnej nazwy. – Zakończyłem moją przygodę piłkarską w Ustrzykach w 1993 roku – wspomina Zdzichu. – Nie zawsze było różowo, miałem wahania formy i wtedy grałem ławkę, ale długi czas wychodziłem na mecze w podstawowej jedenastce. Głównie za czasów trenera Bogdana Ferencza. Kiedy ustrzycką drużynę prowadził Zbigniew Szuberla, wybiegałem na ostatnie dwadzieścia-trzydzieści minut.

Mierz siły na zamiary

Zdzisiek Slotwiński nie uważa się za wielkiego piłkarza. Przynajmniej, że brakuje mu techniki, za to nikt nie może mu zarzucić braku ambicji. Od pierwszej do ostatniej minuty „grzyje trawę”, walczy bark w bark, a kondycji mogą mu pozazdrościć zawodnicy z wyższych klas rozgrywkowych. – Miałem taką tendencję, już w początkach lat osiemdziesiątych, że gnałem z piłką do przodu. Czyli

byłem obrońcą ofensywnym, choć trener Szuberla mocno mnie beształ za takie wypadki poza linię obrony. Wtedy piłka była inna, grało się inaczej, a obrońca był głównie od tego, żeby zatrzymać przeciwnika, nie dać mu dobiec w pobliże bramki. Strasznie się wkurzałem na te trenerskie decyzje, ale też nie pyskowałem. Zawodnik musi być karny, uznawać zwierzchność i zamysł taktyczny szkoleniowca. Bo chodzi w końcu o drużynę, a nie indywidualne zachcianki.

Zdzisław się żeni, rodzą się dzieci. Obowiązek goni obowiązek, ale żona jest wyrozumiała. Jej wybraniek nie może zrezygnować z piłki. Byłoby to wbrew Zdzichowej naturze. Jest na każdym treningu, choćby się waliło i paliło. Ma dewizę, że opuszczony trening to czas bezpowrotnie stracony. Ale nie ogranicza się tylko do ćwiczeń oficjalnych, z kolegami i szkoleniowcem. Od siódmej do piętnastej pracuje, potem jednak spędza czas z piłką.

Wraca do zonglerki. Najpierw po dwadzieścia-trzydzieści podbić prawą nogą, potem to samo lewą. A później na zmianę i jeszcze głową. Z czasem robi sto na sto, ćwiczy też zwody, opanowanie piłki, strzały z obu nóg. Siedzenie na ławce rezerwowych to żadna ujmą, ale trzeba mierzyć wyżej, starać się osiągać nakreślone cele. Dlatego nawet w pracy, w przerwie śniadaniowej, idzie z piłką na tyły spółdzielni ogrodniczej i wali gulgą w mur. Kierownik zrazu patrzy dziwnie, lecz szybko macha ręką i nie załuje Zdzichowię tynka na murze. A w zimie godzi się nawet z tym, że jego podwalny trenuje w spółdzielczym budynku. Miejsca jest dość, jedna piłka nie zawadzi. Byłe nie rozbić żyrandola i nie stłuc szyby. – Nie chciałem tracić nawet minuty. Dzięki systematycznej, solidnej pracy byłem zawsze gotowy do gry na przywoitym poziomie.

Koleczy z drużyny o Pelem: „Ambitny, jak mało kto”. „Zawzięty, gra do ostatniej sekundy”. „Niezły, ale zanadto porywa się do przodu i wtedy traci piłkę”. „Koleżeńki, pomocny, swój chłopak”.

Lody, piwo i śpiew

Kiedy Slotwiński sięga pamięcią wstecz, widzi tłum kibiców zgromadzonych na ustrzyckim stadionie. Nieważne, czy miejscowi grają akurat w klasie B, A, czy już w okręgówce. Większość zgromadzonych siedzi przykładnie na trybunach, kolejni stoją za ogrodzeniem przy bieżni, małe grupki okupują trawnik i krzewy powyżej trybun. Przez głośniki lokalny sprawozdawca ogłasza składy drużyn. Na stadionie głównie mężczyźni, zapaleni kibice, ale też młodzież i matki z dziećmi. Wszyscy zagrzewają piłkarzy do walki, najbardziej rodzice i dziadkowie futbolistów. Pikorowie, Stanisławowie, Lutowie, Szewczykiowie i inni. Oraz Slotwińscy: „Pele, do przodu!” – pokrzykują. „Pelus, nie daj się!” – słychać z ławek „Brawo, Pele!” – niesie się aplauz po udanym zatrzymaniu nacierającego przeciwnika. Gdy obcy zawodnik zbyt brutalnie traktuje na murawie Zdzisława, jego matka z pierwszego rzędu trybun grozi przybyszowi parasolką. Trzeba grać ramię w ramię, ale fair play.

Atmosfera piknikowa. Na obrzeżach stadionu star skrzyniowy z lodami, oranżadą i piwem. Dla każdego coś smacznego. Stoi milicja, straż pożarna, na wszelki wypadek karetka pogotowia. Tylko czasami komuś



Ekipa piłkarzy MZKS Bieszczady Ustrzyki Dolne, koniec lat siedemdziesiątych. W dolnym rzędzie czwarty od lewej Zdzisław Slotwiński

nierówna i graniczy z rzeką. Prowadzi do niej wąska kamienista ścieżka, przy której końcu stoi nadwierzony zębem czasu wychodek. Nieco dalej stół połączony z ławką. Kiedyś zwykły, odrapany stół i taka sama ławka, a dzisiaj przedmiot, przy którym padł rekord Polski.

Piłki za butelki

Zdzisław Slotwiński, rocznik 1956, piłkę nożną kocha od dziecka. Z takimi samymi zapaleńcami jak on godzinami rozgrywa na podwórku mecze o nic i o wszystko. Gdy mieszka przy ulicy 22 Lipca (dzisiaj Dwerneckiego), ma blisko do starego stadionu przy rzece Jasienki. Tam podpatruje wyczyny miejscowych futbolistów i marzy, że kiedyś i on przywdzieje klubową koszulkę. Najpierw jednak śni o własnej

1 Maja, w kamienicy przy wylotówce na Lesko i Sanok. Dołem płynął Strwiąż, a cała skarpa nad Strwiążem to było wysypisko. Ludzie znajdowali tam rozmaite „skarby”, ja zaś po lekcjach myszkowałem za butelkami. Za jedną flaszkę po winie dostawałem w skupie złotówkę. Nasprzedawałem się ich od cholery, ale wcześniej każda musiała być dokładnie umyta i pozbawiona blaszanej obrączki przy szyjce. Dla chłopaka to nie był problem, co drugi wyrostek nosił wtedy w kieszeni szczyryka. Bez szczyryka nie dało się żyć, służył do strugania patyków, gry w noża, do tego, żeby poczuć się dorosłym.

Najczęściej on i koleczy grają piłką gumową. W kiosku „Ruch” przy rynku czy w sklepie zabawkarskim jest

Marzenia o kadrze

Co uczeń z podstawówki może robić w połowie lat sześćdziesiątych w kilkutyśniowych Ustrzykach? Rzucać kamieniami albo grać w nogę. Zdzichu wybiera to drugie. Kiedy nie może kopać z kolegami, kopie sam – o ścianę domu, o nadbrzeżny mur oporowy. Gdzieś wtedy po raz pierwszy próbuje też zonglerki, bardziej z nudów niż z potrzeby serca. Podobą mu się takie podbijanie; nie mecze, co daje frajdę. Także inni zaczynają robić kapki, a wkrótce licytować się między sobą, kto zrobi ich więcej. – To była jednak wciąż tylko zabawa, natomiast po cichu każdy myślał o tym, żeby zagrać na stadionie, przy kibicach. Coraz częściej chodziliśmy kopać na stadion. Już nie na Jasień, lecz przy



Taką koszulkę Zdzychu dostał od przyjaciół z Wetliny. Fot. Krzysztof Potaczała

puszczają nerwy i wtedy rzuca salwę nieczcuralnych słów w kierunku sędziego. Bądź zawodnika przeciwniej drużyny, który zbyt brutalnie wszedł korkami w nogi miejscowego ulubieńca. Kiedyś zdarza się nawet, że w autobusie przyjezdnych zostają przecięte opony, ale to przypadek jednostkowy. Co innego na wsiach, tam takie wybryki mają miejsce częściej, lecz i tak wydają się śmieszne w porównaniu ze zdżiczeniem obyczajów na współczesnych stadionach. Kiedyś można było dostać z pięści, po meksku, teraz można maczetą, po bandycku.

Na górze nad trybunami Ciesiek Pięta śpiewa i popisuje na flecie (dawne wuwuzele). Władek Woliński

włącza swój gardłowy bas, ktoś pod krzakiem polewa kolejkę. Oficjalnie nie wolno wnosić alkoholu na stadion, ale chłopcy mają sposoby. Jeszcze taki się nie urodził, żeby im przeszkodził.

W drugiej połowie są już na mocnym doping, więc drą mordę, ile wlezie. Aż spiker musi prosić porządkowych o interwencję, choć porządkowi to koledy ekipy spod krzaka i krzywdy swoim nie robią.

Jest jeszcze muzyka: Gdy piłkarze przez kwadrans regenerują siły, uzupełniają płyny i wysłuchują rad trenera, nad boiskiem z magnetofonu płyną szlagiery: „Jak się masz, kochanie”, „Bo z dziewczynami...”, „Tyle słońca w całym mieście”. I tak dalej. Potem

spiker ucisza „szpulaka”, ale włącza na chwilę po ostatnim gwizdku. Jeśli miejscowi schodzą z tarczą, puszcza wesołe kawałki, jeśli na tarczy – trzeba zmienić płytę. Także dlatego, żeby nie drażnić i tak już rozdrażnionych porażką. Oraz zachować całą twarz.

Nadrabianie zaległości

Pele gra w Ustrzykach nieprzerwanie piętnaście lat. Potem kolejne cztery w Galicji Cisna, następnie w Nelsonie Polańczyk. Długą karierę kończy w Solince Wołkowyja. Przez cały ten czas dziwi się, w jaki sposób godzi kopanie piłki z obowiązkami rodzinnymi. Przynajmniej, że czasem zawała, a cały ciężar bierze na siebie żona. Prowadzenie sklepu i baru to poważna sprawa, a tu ciągle mecz i mecz. Grażyna, małżonka, ciężko wzdycha, czasami płacze, ale odpuszcza Zdzychowi. Wychowują czworo dzieci, a Norbert swego czasu godnie zastępuje ojca na boisku, choć na innej pozycji. Pele nie ukrywa, że za mało poświęca się najbliższym, ale potem stara się nadrabiać zaległości. Stracony czas przekuwa w darowany i postanawia pokazać, że w człowieku drzemie wielkie możliwości. Więc kiedy już wszyscy wokół uznają, że w dojrzałym wieku Zdzychu wreszcie zęgną się z piłką, on ponownie odkrywa jej oblicze. Uznaje, że dojdzie w podbijaniu futbolówki do mistrzostwa i nikt mu w tym nie przeszkodzi.

W Wetlinie ludzie patrzą na te próby zrazu dziwnie, lecz po czasie zaczynają doceniać wysiłki lokalnego biznesmena. Sklep sklepem, bar także ważny, ale przecież na tym życie się nie kończy. Trzeba jeszcze spróbować czegoś innego, dopóki nogi sprawne i głowa na karku. Gdy kończy sześćdziesiątkę, dosłownie zakochuje się w żonglerce. Weźmie podziw młodych mistrzów, chociażby Janusza Chomątka, który trafia z żonglerką do księgi Guinnessa. Sam też postanawia zaskoczyć świat. Albo chociaż Polskę.

Najpierw podbija piłkę przez pół godziny, potem godzinę i coraz dłużej. Na stojąco, na siedząco, a nawet na wół leżąc, oparty na łokciach. Łąka nad rzeką jest szeroka, może robić kapki w miejscu, może też z piłką spacerować tam i z powrotem. I często tak robi, a kiedy nudzi mu się żonglowanie na płaskim, schodzi z piłką po wyboistej skarpie do samej wody. I tą samą ścieżką wraca, ani raz nie biorąc piłki pod pachę. Dochodzi do takiej wprawy, że dla zabawy podbija chwilkami gułę nawet z zamkniętymi oczami. Ludzie patrzą znad sklepu, podziwiają. Turyści i miejscowi. Wnoszą toasty colą i gorzałą, w zależności od chęci, lecz zawsze szczerze.

Wieść płynie przez Polskę

Myśl o biciu rekordu przychodzi nagle. Dlaczego nie? Tylko trzeba by trenować już nie godzinę czy dwie, tylko dwa razy dłużej. Codziennie. Więc rano ogarnia sklep, zamawia towar, jedzie za sprawunkami, a potem biegnie na trawę. Nie przeszkadza mu spiekota, przywyka do deszczu, a gdy nastaje zima, niestraszny mu mróz. Tylko najpierw musi parę razy przejść tam i z powrotem w śniegu po kolana, żeby udeptać sobie ścieżkę. Na stopy wciąga getry, obwiązuje reklamówkami i dopiero wtedy wzuwa korki. Do tego długie spodnie, koszulka i dres, na głowę welniana czapka. Wszędzie wokół jedna biel, a na środku tej białej

płaszczyzny człowiek z piłką.

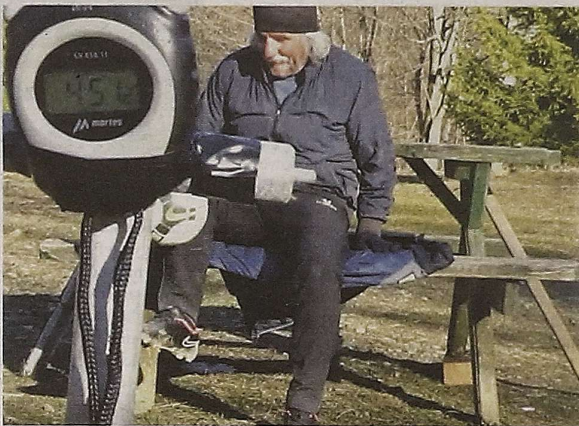
O Zdzychu i jego wyczynach dowiaduje się telewizja. Przyjeżdżają z Polsatu, nagrywają, rozmawiają. Fragmenty emitowane są w „Drwalach i innych opowieściach Bieszczadów”. Zdzisiek jawi się w nich jako ktoś wyjątkowo przyjazny, zawsze uśmiechnięty. Takim widzą go też inni występujący w dokumencie. Przekaz płynie w Polskę, choć mało kto wierzy, że Pele stanie do bicia rekordu w żonglerce piłką nożną. Tym bardziej, że chce to robić na siedząco, na starej, odrapanej ławce. Piłką, którą kto inny dawno wyrzuciłby na śmietnik. Z oderwanym fragmentem skóry, pokiereszowaną. Ten oderwany płat to sprawa psa. Rzuca się kiedyś na piłkę jak głupi i ją szarpie, ale Zdzisiek nie decyduje się na inną.

Żonglerka pomaga Pelemu na powrót uwierzyć w siebie. Staje się

minut. Fantastycznie, tylko że Tadek zapomina włączyć kamerę. Wynik znowu się nie liczy.

Po to, żeby nie skapanie

Wbrew przeciwnościom, Zdzisiek mobilizuje się jeszcze bardziej. Dopinguje go też znajomi i koledzy. Dzień w dzień przez kilka godzin ćwiczy na znajomej łące, aż pewnego dnia siada na swojej ławeczce i „robi” cztery godziny, pięćdziesiąt jeden minut, dwadzieścia osiem sekund. Około pięćdziesiąt tysięcy razy! Lewa-prawa, prawa-lewa. W dodatku wyczyn wreszcie zostaje zarejestrowany i potwierdzony obecnością sędziego. Potem nagranie trafiło do Biura Rekordów w Poznaniu, jedynej w Polsce instytucji zajmującej się uznawaniem rekordów w różnych dziedzinach życia. Nie jest to biuro księgi Guinnessa, ale firma poważna i wiarygodna.



Oficjalne bicie rekordu, z ustawionym czasomierzem i sędzią poza kadrem. Fot. Archiwum Zdzisława Slotwińskiego

odskoczną od problemów codzienności. Kiedy podbija piłkę, resetuje mózg i włącza się z pozostawionego przed chwilą na ulicy życia. Gdy już odbija po tysiąc razy, prawa-lewa, lewa-prawa, jest pewien, że stać go na jeszcze więcej. Ale żeby ktoś jego wynik potraktował wiarygodnie, musiał znaleźć sędziego i nagrać swoje żonglowanie. Przypadkiem zjawia się turysta, trener piłkarski. Zdzisiek kapkuje przy nim bez przerwy ponad godzinę, a później, już przy innym świadku – dwa razy dłużej. Któregoś dnia, w dodatku po zakrapianej nocy, Zdzychu podbija gałę 38 tysięcy razy. Nagrywa wszystko na kamerze, ale że nie ma przy tym sędziego, wynik się nie liczy. Potem do Wetliny przyjeżdża Tadeusz Szczepkiewicz, stary kumpel, dawny działacz piłkarski w Ustrzykach. Przy nim bieszczadzki Pele żongluje nieprzerwanie trzy godziny i siedem

Zdzisław Slotwiński, lat 64, otrzymuje oficjalne potwierdzenie zdobycia mistrzostwa Polski w żonglerce piłką nożną na siedząco, co potwierdza wydany certyfikat, podpisy komisji i pieczęcie. Gratulują mu znajomi i nieznajomi, dumna czuje się żona oraz ich wspólne dzieci. Córka Elwira od razu zamieszcza informację na Facebooku, wiadomość leci po łączach w świat.

Żeby zostać rekordzistą, zdziera cztery pary korków, dwa razy się przeziebia, zapomina o kilku sprawach „niecierpiących zwłoki”. Dochodzi do sukcesu trzy lata, choć tak naprawdę całe dotychczasowe życie. Cieszy się z rekordu i z okazywanej mu sympatii. Lecz nade wszystko z tego, że jeszcze nie skapaniał. To, mówi, byłoby najgorsze.

KRZYSZTOF POTACZAŁA



Zdzisiek, jeśli chce, bawi się też w żonglowanie piłeczką tenisową. Fot. Krzysztof Potaczała



Korki piłkarskie, które Pele zdart, przygotowując się do bicia rekordu Polski. Fot. Krzysztof Potaczała

Czerniowce – na słonecznych rubieżach

Na Wyżynie Przedkarpackiej, blisko rumuńskich i mołdawskich granic, położone są Czerniowce - największe miasto po Lwowie w zachodniej Ukrainie, a w dawnych Austro-Węgrzech najdalej wysunięte na wschód. Na Bukowinie żyli razem Rumuni, Ukraińcy, Rusini, Niemcy, Żydzi, Polacy i Ormianie. Co z tego przetrwało do dziś?

Pożegnałem dzikie psy z Kołomyi i wsiadłem w marszrutkę do Czerniowców. Przejazd trwa dwie godziny i kończy się na rondzie w północnej części miasta. Gdy się tu jest, czuć od razu bliskość Rumunii i Besarabii. Trzeba jeszcze dojechać do centrum. Zdyszany trolejbus wtacza się w podskokach po brukowanej drodze i zabiera pasażerów. W zdezelowanej puszcze zalatuje smarem, panuje gorąc i dominuje ścisk. Babcię przyklejone do siedzeń z dermy wachlują się gazetami z reklamą szynki i baleronu. Kierowca w rozpiętej koszuli kieruje na siebie miniaturowy wentylator. Jego gruby kark lśni od spływającego potu. Powiewają nad nim dwie skrzyżowane flagi, ukraińska i europejska.

Na Moskwę!

Latem jest tu gorąco. To przez południowe położenie i wysokość nad poziomem morza. Błask słońca przebija się przez zieleni winogronowych liści. Wija się z wigorem po jasnomorelowych ścianach, tworząc zacienione aleje. Spotkamy je w bocznych uliczkach, ukryte między budynkami o grubych murach i szerokich balkonach. Na co drugim wiszą koreańskie klimatyzatory. Będą hulają, gdy ludzie wrócą z miasta.

Przejeżdżamy przez most nad Prutem. Mijamy kolejowy dworzec, za którym stoi rzadziejący pomnik - Człg Nikitina. Pewien dowcipniś wymalował kiedyś na nim farbą: Na Moskwę! Trąbiły o tym wszystkie ukraińskie gazety. Lejtnant Nikitin miał 21 lat i posłusznie wykonywał rozkazy przełożonych. Wierzył gorliwie, że władza pragnie jego dobra. Podczas natarcia na Bukowinę splonął żywcem w zniszczonym czołgu.

Jesteśmy już w sercu miasta na Placu Centralnym. Za czasów austriackich nazywał się Ringplatz, później za rumuńskich - Piața Unirii, czyli Plac Zjednoczenia, a po wojnie był Placem Czerwonym. Siadamy z mapą pod pomnikiem Szewczenki, żeby przestudiować oryginalny układ ulic. To rezultat późnego rozwoju miasta, przecież nie było tu lokacji na prawie niemieckim. Potrzeba kilku dni, żeby się przyzwyczaić.

Również błękitny ratusz ma osobliwe położenie. Jest nachylony w kierunku południowym do rzeki Prut. Zaprojektował go Andreas Mikulicz - architekt polskiego pochodzenia. W ratuszowych murach długo urzędował Antoni Kochanowski - polski burmistrz Czerniowców. Na wieży umieszczony był austriacki orzeł, którego później zastąpił napis Primăria, po rumuńsku oznaczający ratusz. Teraz stoi dewiza Austro-Węgier: Viribus Unitis, po łacinie: Wspólnymi Siłami.

Cesarz

W końcu czas na zimny prysznic w hotelu. Przed wyjściem zerkam na telewizję. Wrzucam kanał Kołomojskiego „1+1”. Trafia się dyskusja o finansach, do której zaproszono dwóch gości. Jeden mówi na portfel kaszeljok, a drugi na to samo hamaniec. I wszyscy się doskonale rozumieją. Wylączam odbiornik. Jadąc windą myślę o starych Czerniowcach. Jak żyło się w mieście, gdzie mówiono siedmioma językami?

Jego nazwa pochodzi od osady Czern nad Prutem. W średniowieczu ziemie te były związane z Mołdawią. Ścierali się tu Tatarzy, Kozacy, Turcy, Rosjanie, a także wojska Rzeczypospolitej. Prawie przez wiek rezydował tu pasza ze swoim dywanem. Śladem po obecności Białego Półksiężca stał się Plac Turecki, na którym stoi do dziś kamienny most ze studnią. Jeden z restauratorów widząc, że robię zdjęcia, zaprasza mnie na kieliszek białego wina. Na ścianach pustego lokalu wiszą szkice tureckiej łaźni,



Budynek w tle to dawna synagoga Tempel. Obecnie kino „Czerniowce”

Fot. Marcin Górecki

wizja artysty, który wzorował się najwyraźniej na Király gyógyfűrdő w Budapeszcie. Po Turkach do Czerniowców przyszli Rosjanie, ale spokój zapanował wraz z nadejściem Austro-Węgier.

Habsburgowie przekształcili Bukowinę w kraj koronny z własnymi urzędami. To była dla mieszkańców ważna chwila, która zapoczątkowała rozwój miasta. Uroczystość upamiętniono na fasadzie Muzeum Sztuk Pięknych, na której widnieje mozaika ułożona z węgierskich płytek Zsolnay. Dzieło rozciągające się na całej fasadzie przedstawia scenę powitania Bukowiny przez pozostałe prowincje dualistycznej monarchii.

W tamtym czasie pojawiły się w mieście prąd, kanalizacja, secesyjne kamienice, wiedeńskie kawiarnie, hotele, banki, teatr, brukowane drogi oraz dworzec kolejowy z połączeniem do Lwowa. Rozwijała się też wielokulturowa tkanka miasta. Mniejszości narodowe i wyznaniowe mogły swobodnie działać i uczyć się we własnym języku, a także prowadzić działalność kulturalną i wydawniczą. Miejscem ich spotkań w Czerniowcach były domy narodowe: ukraiński, żydowski, rumuński, niemiecki, a także polski. Dla prawosławnej metropolii wzniesiono Rezydencję Metropolity Bukowiny i Dalmacji - najszlachetniejszy zabytek miasta, znajdujący się na liście UNESCO, którego mury zajmuje dziś lokalny uniwersytet. Na jego terenie odnajduje ciszę w prawosławnej cerkwi.

964 kilometry

Choć Czerniowce były najdalej wysuniętym na wschód miastem Austro-Węgier, to władza centralna nie zapomniała o Małym Wiedniu. Miasto odwiedził Franciszek II, który spotkał się tu z rosyjskim carem Aleksandrem I, jak również Franciszek Józef I oraz ostatni cesarz Karol I. Zatrzymali się w Rumuńskim Domu Ludowym lub w hotelu Pod Czarnym Orłem przy Placu Centralnym. Cesarze rozpoczynali poranek w tutejszych kawiarniach filiżanką kawy i od lektury lokalnych gazet. Przeglądali prasę niemieckojęzyczną, ale także ukraińską i rumuńską, co mogło świadczyć o zainteresowaniu losem każdego narodu. Żaden z Habsburgów nie marudził wtedy, że dzieli ich od Wiednia 964 kilometrów.

Wojny światowe nie zniszczyły miasta, lecz oprócz architektury ocalały też żywioły narodowe. Rozpad Austro-Węgier stał się szansą na przejęcie samodzielną władzy dla najliczniejszych grup narodowych: Ukraińców i Rumunów. Ci pierwsi próbowali zjednoczyć miasto ze świeżo powołaną we Lwowie Zachodnioukraińską Republiką Ludową. Siczowi Strzelcy rozbroili

austriackie wojsko, ale do miasta wkroczyli uzbrojeni Rumuni. Próby podziału władzy zakończyły się klęską i 11 listopada 1918 r. miasto wyznaczono do Rumunii.

Przez ponad dwadzieścia lat Czerniowce posiadały status największego miasta po Bukareszcie, choć żyjący tu Rumuni nie stanowili w nim większości. Można powiedzieć, że rumuńskie Cernăuți są tym samym, czym dla Polaków stał się dzisiejszy Lwów - długim, międzywojennym wspomnieniem, a być może także wątpliwie wyidealizowanym.

Hymn Albanii

W piątkowe popołudnie gorąc nie odpuszcza. Rozglądam się za czymś do jedzenia, najpierw przy głównej ulicy imienia Olgi Kobylańskiej - ukraińskiej pisarki, która mieszkała niedaleko w jednej z kamienic. Przy ulicy gromadzą się dorośli, studenci, zakochane pary trzymające się za ręce. Grupy bukowiańskich przyjaciół biesiadują w piwnych lokalach przy cebulowych krzączkach. Niesie się dźwięk rozmów i wznoszonych toastów. Ta ulica nazywała się wcześniej Herrengasse, czyli Pańska, a w okresie międzywojennym lancu Flondora - rumuńskiego polityka walczącego o włączenie Bukowiny do Rumunii.

Miejscowi znają ulicę na wylot, zdaje się, że tylko turyści patrzą pod nogi. Wpatrują się w płytki z nazwami miasta w czterech językach: ukraińskim, rumuńskim, jydysz i polskim. Uliczni muzykanci dają saksofonowy popis obok kamienicy Pod Trzema Koronami, gdzie mieściła się kiedyś najszlachetniejsza kawiarnia Café Habsburg. Jej goście mogli przeczytać prasę w kilkudziesięciu językach, a nawet skorzystać z telegrafu.

Postanawiam iść dalej. Napotykam po drodze na tablicę poświęconą Ciprianowi Porumbescu, a właściwie Cyprjanowi Gołębiowskiemu. Był rumuńskim pianistą i skrzypkiem polskiego pochodzenia. Jego kompozycja stała się melodią hymnu Albanii. Trafiam w końcu na restaurację specjalizującą się w gotowanych rakach. Chłodna piwnica, kilka stolików, mały bar z podświetlanym na środku akwarium. Zamawiam raki i bombkę mocnego samogonu, który podano w pękatom i zmroczonym kieliszku. Wychodzę z piwnicy. Nareszcie zrobiło się chłodniej. Strumą ulicą docieram do małego spożywczego sklepu, przy którym sędziwy mężczyzna wyłożył się na murku ze starymi książkami. Gregor von Rezzori, Paul Celan, Rose Ausländer, Iwan Franko, Aharon Appelfeld. Wszyscy związani z miastem. Wydania ukraińskie, niemieckie,

rumuńskie, hebrajskie. Jest tego cały karton. Wybieram tomik Eminescu - największego z rumuńskich poetów.

Tempel

Pod sklepem dołącza do mnie młoda Rumunka, z kolorowym plecakiem i dredami. Przedstawia się jako Nina. Jest wesola i uśmiechnięta. Pisze właśnie artykuł o architekturze miasta dla prestiżowego pisma Timpul. Szybko łapiemy wspólny język. Okazuje się, że zmierzamy w tym samym kierunku, na ulicę Uniwersytecką.

Nazywała się ona dawniej Tempelgasse, a przy jej końcu znajdowała się Wielka Synagoga Tempel - opowiada Nina. W czasach rumuńskich ulica nazywała się strada Iona Duca - rumuńskiego premiera, który zginął w zamachu faszystowskiej Żelaznej Gwardii. Po wojnie świątynię przekształcono na kino Czerniowce, toteż niektórzy nazywają ją ironicznie kinagoga. Po drugiej stronie ulicy grupa młodzieży tłoczy się pod restauracją „OZZY” - będącej lokalną odmianą amerykańskiej sieci szybkiego jedzenia. - Spróbuj przynajmniej frytek, naprawdę dają radę! - śmieje się Nina.

Czas płynął nam szybko. Ciepły wieczór spędzamy w kawiarni przy placu Teatralnym. Jadące trolejbusy są zatrzymane co chwilę przez wyskakujące na ulicę psy. Siedzimy na wysokich stołkach i obserwujemy z uchylonego okna Teatr Muzyczno-Dramatyczny. Zaprojektował go duet znanych, wiedeńskich architektów: Fellner i Helmer. Tych samych, którzy odpowiadają za Dom Uczonych we Lwowie, a także Teatr Opery i Baletu w Odessie. Tuż obok położony jest Dom Żydowski, a także międzywojenny Dom Oficerów, w którym mieści się supermarket Kolos. - Mają tam dobre sery i mołdawskie wina - mówi Nina. - Musisz spróbować. Ja wybieram. Idziesz?

MARCIN GÓRCECKI

Wyjaśnienie: w artykule o Werchowynie prawidłowy tytuł cyklu Vincenza to Na wysokiej poloninie, a nie Huculszczyzna. Za chochlika przepraszam, życząc jednocześnie udanego odkrywania Wschodu.

Aktualna sytuacja epidemiczna na Ukrainie i warunki wjazdu na stronach covid19.gov.ua oraz t.me/s/COVID19_Ukraine Do Czerniowców można dojechać pociągami ze Lwowa oraz Kijowa. W mieście działa port lotniczy, który obsługuje też połączenia między narodowe. Oferta noclegów jest w Internecie ograniczona. Najlepiej szukać czegoś na miejscu (np. hotel z restauracją Knaus).

Po prostu proziaki!

To najprostsze domowe pieczywo, które – zapewniam – potrafi zrobić każdy. Swoje proziaki podałam do bigosu ze słodkiej kapusty, bo razem tworzą świetny duet.



Fot. Barbara Mrozek-Chrobak

Produkty: 200 ml kefiru lub maślanki, 1 całe jajko, 1 łyżeczka cukru, 1 łyżeczka soli, 1 płaska łyżeczka sody.

Przygotowanie: Składniki wymieszać w misce i powoli dodawać mąkę pszenną. Wyrabiać dokładnie do połączenia na jednolite luźne ciasto. Gotowe ciasto uklepać na stolnicy na grubość do 7 milimetrów. Początkującym polecam wykrawanie krążków szklanką. Gotowe uformowane krążki pieczemy na blasze kuchennej lub na rozgrzanej, suchej patelni teflonowej. Czas opiekania porcji obustronnie - do 10 min. Do proziaków możemy dodać ulubione

ziola, sezam, ziarna lnu lub kminek. Dla nadania pulchności ciasta możemy dodać łyżkę masła lub dwie łyżki oliwy.

Dodatkowe uwagi: Na proziaki musimy przygotować sobie do 400 g mąki pszennej. Ciasto wyrabiamy do momentu, gdy jest lekko luźne. Nasze ciasto ma dać się nam rozciągnąć na stolnicy dłońmi. Może nam się lekko lepić do dłoni, proziaki będą wtedy smaczniejsze i pulchniejsze. W mojej kuchni ciasto na proziaki urabiam drewnianą łyżką lub widelcem w głębokiej plastikowej misce. Polecam spróbować tym, którzy jeszcze nie smakowali. Smacznego!

B.M.-Ch.

Nie tylko rzeźby



Fot. FB/TwórcyBieszczad M. Kruk

AUTOR: Adam Rymarowicz - artysta bardziej znany jest jako właściciel Bieszczadzkiego Klubu Turystyki Konnej „Stanica” z Leska, jednak warto, by częściej zasiadał do pracy z drewnem. Jego prace charakteryzuje bowiem niesamowita ekspresja, którą rzadko można dostrzec u innych bieszczadzskich twórców szukających inspiracji w sztuce ludowej. Tworzy rzeźby oraz płaskorzeźby, wśród których oprócz Biesów i Czadów znajdziemy jego ukochane konie czy sceny rodzajowe. Artysta wyrabia też oryginalne drewniane meble. Więcej informacji na FB/Adam Rymarowicz:

paba

Chaber dobry na oczy

Chaber bławatek to roślina o niezwyklej urodzie, zachwycająca nas hipnotyzującym niebieskim kolorem. W Polsce jest pospolitym chwastem polnym i upraw rolniczych, ale w lecznictwie stosuje się języczkowaty, czyli zewnętrzny kwiat bławatka.



Fot. Dominika Pyra

Po zbiorze (na początku lata) kwiaty należy szybko wysuszyć w przewiewnym miejscu, żeby uniknąć rozpadu niebieskiego barwnika. Surowiec chabra zawiera antocyjany, głównie błękitną cyjaninę, ale też pelargonidynę, ponadto flawonoidy, woski, garbniki, służy i sole mineralne - magnez, potas i mangan.

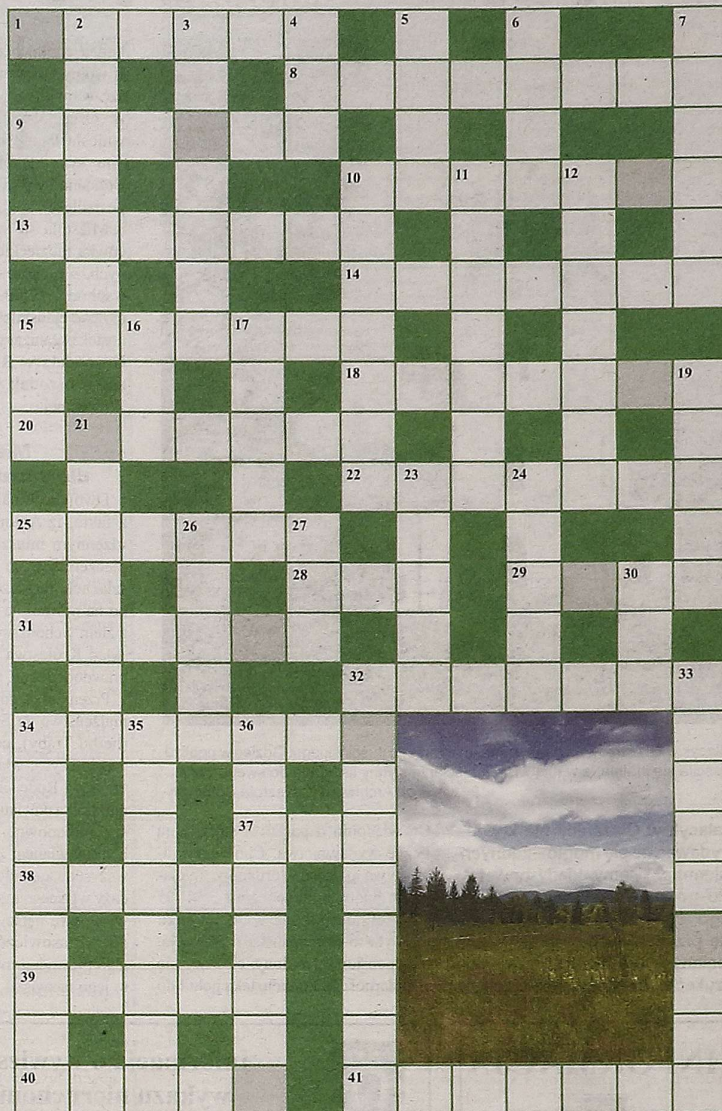
Dawniej macerat z kwiatów bławatka stosowano zewnętrznie na choroby oczu. Zalecano też kąpiele w wywarze przy różnych dermatozach (schorzeniach skór), a z kwiatów chabra wyrabiano niebieski barwnik. Obecnie zioło stosowane jest

jako łagodny środek moczopędny, przeciwzapalny i przeciwalergiczny. Jak podaje dr Henryk Różański, antocyjany bławatka poprawiają mikrokrążenie w obrębie naczyń i tężówki oka oraz aktywują odtwarzanie elastazy i kolagenazy, stabilizują strukturę naczyń krwionośnych i działają przeciwozwrótkowo. Uszczelniają i wzmacniają naczynia krwionośne. Napar z kwiatów stosuje się w kamicy moczowej, stanach zapalnych układu moczowego, zatruciach i reumatyzmie.

Okłady na oczy można stosować przy: zapaleniu spojówek i powiek, cieniach pod oczami, obrzękach i przemęczeniu oczu. W kosmetyce wyciągi z kwiatów bławatka działają zmiękczańco, przeciwzapalnie, antyseptycznie i przeciwbakteryjnie i są zalecane w preparatach dla skóry tłustej, łojotokowej i z objawami zmian zapalnych. Ekstrakty z chabra bławatka mają też właściwości obkurczające, wzmacniające naczynia, działają przeciwzapalnie, przeciwzwalniają z zaczerwienieniem, dlatego wykorzystuje się je w kosmetykach dla cery naczynkowej. Ponadto wyciągi z chabra działają tonująco, wygładzająco, odświeżająco, nawilżająco i są stosowane w liniach kosmetyków odmładzających. Zawierają je również kremy rozjaśniające pod oczy i płyny do higieny intymnej. **Oprac.: Pzyiółka (Dominika Pyra) (zielarstwo.rzeszow.pl, FB/zielarstwo.rzeszow, FB/chatazielarki) (źródło: poradnynazdrowie.manpol.pl)**

KRZYŻÓWKA

KUPON 704



POZIOMO:

1) pierwsza od zachodniej strony bieszczadzka połonina; 8) rzewień na kompot; 9) rowek na zagonie; 10) zakrywa czoło; 13) miejscowość w gminie Olszanica; 14) miejscowość w gminie Dukla, z ładną cerkwią pod wezwaniem św. Paraskewii; 15) potocznie o whisky; 18) autor „Łysej śpiewaczki” „Lekeji” „Krzeseł”; 20) nazwa tkaniny od nazwy zakładów zał. w XV w. przez rodzinę Gobelin; 22) ukochany Heloizy; 25) linia krzywa zamknięta, wynikająca z ukośnego przecięcia stożka; 28) format kompresji plików w komputerze; 29) rzucony przez wiedźmę; 31) wieś w powiecie leskim, w gminie Baligród; 32) krótkoszpón, drapieżny ptak z rodziny sokołów; 34) Bernardo, zwany Canaletto (1720 -1780), malarz włoski, w latach 1767-1780 w Warszawie, zostawił po sobie cykl widoków stolicy; 37) „Bravo” – western w reżyserii Howarda Hawksa z 1959 roku; 38) zgromadzenie na forum; 39) włókno produkowane w Toruniu; 40) michalek, marciniek i gawędka; 41) imię autora „Poletka Pana Boga”.

PIONOWO:

2) planeta najbliższa Słońca; 3) wieś w Polsce położona w województwie mazowieckim, w powiecie makowskim, w gminie Krasnosielc; 4) wiosną płynię rzeką; 5) człowiek nieokrzesany, nie umie się zachować; 6) liczba pojawiająca się w tytule pamiętnika Aleksandra Fredry; 7) lista błędów drukarskich; 10) pogard; o człowieku, gad, płaz, padalec; 11) pały lub sąsiada z dołu; 12) dawna jednostka długości w Rosji równa 1066,78 metra; 15) nieistniejąca wieś w sąsiedztwie Jaworca; 16) zespół Józefa Skrzeka; 17) zbiór map; 19) i Łaźni, i Podwiązki; 21) janusowe, czyli dwa aspekty danej sprawy; 23) ulubiona pieśń św. Jana Pawła II; 24) pikantna potrawa rodem z Węgier; 26) fragment utworu grany cicho; 27) jaskrawo upierzona papuga; 30) mocne piwo angielskie; 32) rezerwat przyrody nieożywionej w Rabem koło Baligrodu; 33) nieistniejąca wieś w gminie Czarna; 34) błahostka, drobiazg oraz jeden z teatrów w Krakowie; 35) pracownik laboratorium wykonujący badania chemiczne, fizyczne, biologiczne, analizy lekarskie; 36) można w nie popaść.

Z liter znajdujących się w szarych okienkach należy ułożyć hasło będące rozwiązaniem krzyżówki. Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji do 13 sierpnia 2020 r.

W losowaniu nagrody wezmą udział wyłącznie rozwiązania nadesłane na kuponach wyciętych z „GB”.

Fundatorem nagrody za rozwiązanie krzyżówki nr 704 jest „Gazeta Bieszczadzka”.

Wyniki losowania nagrody za krzyżówkę nr 704 zostaną opublikowane w „GB” nr 14/2020

W wyniku losowania nagrodę za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 703 otrzymuje Pani Helena Piecuch.

Hasło krzyżówki nr 703 brzmiało: „MYCZKÓW”.

O mądrym koniu i jego właścicielu z pałacu



Pałacyk w Olszanicy, dawna własność Antoniego Juścińskiego. Gdzieś w pobliżu mieściła się stajnia, a w niej wisiał na ścianie słynny list konia do swego pana
Fot. Archiwum Krzysztofa Potaczala

Pałacyk w Olszanicy nie kryje – wydawać by się mogło – żadnych tajemnic. Wiemy, kiedy powstał, kto go zbudował, znane są też jego dzieje. Gdy jednak zacznie się przepatrywać roczniki zapominanych czasopism, można doszukać się czegoś zaskakującego.

Co wiadomo o pałacu – streszczając liczne wydawnictwa. Choć nazywany bywa pałacem Jordanów, inicjatorem budowy (zakończony w 1905 r.) był Antoni Juściński. Od początku nie była to jaśniejsza rezydencja, lecz pensjonat; ceniony, cieszący się popularnością. Funkcję taką pełnił do

końca epoki, przerwanej wybuchem II wojny światowej. Potem przetrwał szczęśliwie wszystkie zmiany, jakie w ciszę olszanieckiej codzienności wniosła Pani Historia. Władającego nim syna Antoniego Juścińskiego, Bohdana, wprawdzie wypędzono z posiadłości, ale budowlą ocalała.

Mieściła się w niej najpierw placówka radzieckich wojsk pogranicznych, a po przesunięciu kordonu na wschód - WOP-u. W późniejszym okresie zainstalowano tam biura jednostek organizacyjnych Państwowych Gospodarstw Rolnych, na koniec zaś – ośrodek czasowy Służby Więziennej.

Miejsce dla wczasowiczów

Dwojakość nazwy pałacu wynika z faktu, iż Antoni Juściński nie był rdzennym mieszkańcem Olszanic; pieczętujący się herbem Ślepowron szlachcic (a raczej zgoła szlachetka, bo na pewno nie karmazyn!) przybył z ziem wchodzących po rozbiorach w skład Królestwa Polskiego – wiece prawdopodobne, że z Wołynia.

Przeniósł się do Galicji, gdyż zawarł małżeństwo ze Stefanią Jordanówną (herbu Trąby), córką Józefa, rodem z Zakliczyna, właściciela dóbr w Olszanic i Rudence, piastuna godności marszałka powiatu liskiego. Poślubiwszy Jordanównę, Juściński osiadł w będącej wianem żony Olszanicy. Tam wszystkie kapitały, uzyskane ze sprzedaży własnego majątku, zainwestował w budowę pałacyku przeznaczonego dla wczasowiczów. Niezależnie od tego prowadził majątek ziemski. Jeśli to jego nazwisko widnieje w wykazie

studentów Akademii Rolniczej w Dublanach – a wiadomo, że jakiś Antoni Juściński kształcił się tam w latach 1877-1879 – uznać trzeba, że miał stosowne ku temu kwalifikacje.

Końskie przemyslenia

Jako zarządca struktury agrarnej miał ekstremażanckie pomysły. To pewne, gdyż dowód zachował się w 8. numerze dwutygodnika „Gospodarz” z 1927 roku, wychodzącego przed II wojną światową w Sanoku. Opublikowano tam materiał zatytułowany... „Prośba konia”.

Brzmi on następująco (ortografia zgodna z oryginałem): „Do ciebie panie mój udaję się z prośbą, przede wszystkim daj mi dostatnio jeść i pić, siano i owies nie mają być spleśniałe ani stęchłe, a woda ma być czysta i świeża, oraz niekiedy mi więcej pracować i ciągnąć jak mam siły. Gdy pracę ukończę wprowadź mię do czystej stajni daj mi dużo słomy żębym się mógł położyć, mów do mnie łagodnie, bo głos twój skuteczniejszy od cugli i bata, zdejm ze mnie powoli uprzęż, podkłady wynieś na dwór ażeby przeschły.

Nie bij mnię gdy droga prowadzi do góry, a nie ściągaj mnię w lejach za silnie gdy zjeżdżamy na dół, a przede wszystkim nie szarp mię nigdy w licach, bo wędziło kaleczy mój pysk, i przez to robi mi wielki ból.

Gdy nie mogę ciągnąć to nie bij mnie, ale zbadaj uprzęż, podkłady oraz podkowy czy mnię nie gniożą, jeżeli nie mogę jeść pomimo dobrej paszy, to zbadaj moje zęby.

Proszę cię i błagam nie ucinaj mi nigdy ogona, mojej prawdziwej ozdoby, a jedyne go środka przeciwko muchom i bąkom mnie gryzącym. A gdy się zestarzę i nie będę mógł pracować lepiej zabij mnie, a nie sprzedaj w ręce niegodziwych ludzi, bym za tyloletnią uczciwą pracę nie cierpiał tak strasznie.”

W odredakcyjnym komentarzu do tekstu wyjaśniono: „Powyższą prośbę godną zapamiętania i przestrzegania przez każdego rolnika, przeczytał i podaje do wiadomości Szan. Czytelnikom jeden z korespondentów »Gospodarza« podczas zwiedzania gospodarstwa u P. A. Juścińskiego w Olszanicy. Prośba ta umieszczona jest na widocznym miejscu w stajni końskiej (...).”

Dusza balów karnawałowych

Jak wynika z notatki opublikowanej w tymże wydaniu dwutygodnika, Antoni Juściński odznaczony został 3 maja 1927 r. Orderem Polonia Restituta klasy V. Określono go mianem: „znanego obywatela, gorącego patrioty, niestrudzonego pracownika na niwie społecznej oraz doskonałego gospodarza”.

Juściński był w rzeczy samej wieloletnim i zasłużonym prezesem Okręgowego Towarzystwa Rolniczego w Lesku, działaczem okręgowych towarzystw gospodarskich w Sanoku i Lesku, a także Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego ze Lwowa. Appendyks do jego biografii i przeżyć znaleźć można w memuarach Heleny z Seifertów Jabłońskiej, wydanych pod tytułem „Dziennik z obłożonego Przemysła 1914-1915”, która zapisała tam: „W Olszanic pałac Juścińskich kompletnie na ruinę wygląda. Sam Antoni Juściński internowany.”

W ślady ojca poszedł syn, inżynier rolnik z wykształcenia, Felician Bohdan (posługiwał się zwyczajowo drugim imieniem) – i robił to chyba udatnie, gdyż w piśmie „Nasze Zdroje i Letniska” (organu Związku Letniskowo-Turystycznego Powiatów i Gmin Województwa Lwowskiego „Bieszczady”) ukazywały się pochwalne recenzje autorstwa gości.

W marcu 1939 r. np. zamieszczono tam inerat następującej treści: „Zadomieniam się z pobytu zimowego w Olszanic, pow. Lesko, w pensjonacie u p. inż. B. Juścińskiego: Pp.: H. Alimowicz, Z. Anders, H. Borowska, L. Bartłński, J. Derlikowski, L. Derlikowski, T. Plewiński, St. Gaydowa, H. Gaydowa, H. Gocman, O. Gorzewski, J. Lewicki, H. Lewicka, I. Mickiewiczowa, K. Maciejczyk, H. Maciejczykowa, A. Pułaczewski, A. Rydzewska, W. Szkieł, R. Szykierowa, J. Skrzębniewska, W. Lubikowska – Kraków.”

Bohdan Juściński dał się zapamiętać z jeszcze jednego powodu. Jak otóż pisał niezapominany historyk Leska Józef Budziak, był duszą organizowanych w stolicy powiatu balów karnawałowych, jednym z głównych prowadzących najważniejsze tańce. Znano go ponadto jako społecznika – piastował godność przewodniczącego Powiatowego Komitetu do spraw Młodzieży Wiejskiej.

Czy jednak z podobną, jak ojciec, atencją odnosił się do zwierząt hodowlanych w dworskich stajniach, historia milczy...

WALDEMAR BAŁDA

INFORMACJA



Działając zgodnie z art. 35 ust. 1 i 2 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz. U. z 2020 r. poz. 65, ze zm.), informuje, że w Urzędzie Gminy

w Czarnej (Czarna Góra 74) na tablicy ogłoszeń został wywieszony wykaz na okres 21 dni, to jest od dnia 07.08.2020 r. do dnia 28.08.2020 r. nieruchomości przeznaczonej do sprzedaży w trybie przetargu nieograniczonego, działki nr ew.: 211/1 o pow. 0,4078 ha, położonej w m. Bystre. Osoby, którym przysługuje pierwszeństwo w nabyciu nieruchomości, o której mowa powyżej, na podstawie art. 34 ust. 1 pkt 1-2 ustawy o gospodarce nieruchomościami mogą złożyć wniosek o ich sprzedaż w drodze bezprzetargowej w terminie do dnia 18.09.2020 r. Wniosek o nabycie nieruchomości powinien zawierać oświadczenie, że nabywca wyraża zgodę na cenę ustaloną w sposób określony w ustawie. Szczegółowe informacje o nieruchomości można uzyskać w Urzędzie Gminy w Czarnej pokój nr 14 tel.: (13) 461 90 09.

Wójt Gminy Czarna Bogusław Kochanowicz



Informacja o wywieszeniu wykazu nieruchomości

Wójt Gminy Lutowska, stosownie do treści art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz.U. z 2020 r. poz. 65) informuje, że w dniach od 22 lipca 2020 r. do 12 sierpnia 2020 r. na tablicy ogłoszeń w Urzędzie Gminy Lutowska, wywieszony został wykaz nieruchomości informujący o przeznaczeniu do oddania w dzierżawę w drodze bezprzetargowej oznaczonej w ewidencji gruntów, jako działka nr 200 o pow. 0,2548 ha w obrębie ewidencyjnym Lutowska. Działka zabudowana jest budynkiem dawnej kotłowni.

Szczegółowe informacje i wyjaśnienia można uzyskać w Urzędzie Gminy Lutowska pokój nr 16 tel. 13 461 00 13 wew. 35 w godzinach pracy urzędu.

Wójt Krzysztof Mróz



Informacja o wywieszeniu wykazu nieruchomości

Wójt Gminy Lutowska stosownie do treści art. 35 ust. 1 ustawy z 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz. U. z 2020 r., poz. 713) informuje, że w dniach od 30 lipca 2020 r. do 20 sierpnia 2020 r., na tablicy ogłoszeń w Urzędzie Gminy Lutowska oraz na stronie internetowej www.lutowiska.pl został podany do publicznej wiadomości wykaz nieruchomości, informujący o przeznaczeniu do sprzedaży w drodze bezprzetargowej. Wykaz dotyczy działki nr 3/2 o pow. 0,0949 ha zabudowanej budynkiem GOPR w obrębie ewidencyjnym Ustrzyki Górne.

Osoby, którym przysługuje pierwszeństwo w nabyciu w/w nieruchomości na podstawie art. 34 ust. 1 pkt 1, 2 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz.U. z 2020 r. poz. 713) mogą składać wniosek o nabycie nieruchomości, nie później niż do dnia 3 września 2020 r., do Wójty Gminy Lutowska. Wniosek o nabycie nieruchomości powinien zawierać oświadczenie, że nabywca wyraża zgodę na cenę ustaloną w sposób określony w ustawie. Szczegółowe informacje i wyjaśnienia można uzyskać w Urzędzie Gminy Lutowska pok. nr 16 tel. (13) 461 00 13 wew. 35 w godzinach pracy urzędu.

Wójt Krzysztof Mróz



WAKACYJNE SPOTKANIA Z PRZYRODĄ

7 sierpnia – „Niechciane kwiaty” – dr Marian Szewczyk, botanik, wykładowca Uczelni Państwowej w Sanoku.

14 sierpnia – „Puszcza Solska” – Paweł Marczakowski, przyrodnik i fotograf przyrody, Rostoczański Park Narodowy.

Wakacyjne spotkania z przyrodą odbywają się w każdy piątek lipca i sierpnia o godzinie 17.00 w Ośrodku Edukacji Ekologicznej BdPN (budynek Muzeum Przyrodniczego) w Ustrzykach Dolnych. Informacje o następnych prelekcjach z cyklu „Wakacyjne spotkania z przyrodą” będą publikowane w Internecie: bieszczadzki.ppn.gov.pl oraz zamieszczone na plakatach, na tablicach ogłoszeniowych UDK.

Podczas „Wakacyjnych spotkań z przyrodą” będą losowane upominki (wydawnictwa i gadzety BdPN). W obiekcie obowiązuje dystans społeczny oraz zakrywanie ust i nosa. Kontakt z organizatorem: tel. 13 461 10 91; e-mail: ond@bdpn.pl

Wstęp wolny. Serdecznie zapraszamy.

W terminie od 1 września do 30 listopada 2020 r., według stanu na dzień 1 czerwca 2020 r., na terenie całego kraju odbędzie się Powszechny Spis Rolny PSR 2020. Udział w spisie rolnym jest obowiązkowy. Spis rolny jest jedynym badaniem statystycznym dostarczającym szerokiego zakresu informacji o gospodarstwach rolnych na wszystkich szczeblach podziału terytorialnego kraju. Dane ze spisu są wykorzystywane do oceny zastosowanych i kreowania nowych narzędzi Wspólnej Polityki Rolnej.

#liczysięrolnictwo

POWSZECHNY
SPIS ROLNY
1.09.-30.11.2020



Spiszmy się,
jak na rolników
przystąpiło!

GUS Powszechny Spis Rolny 2020

Podstawowe cele Powszechnego Spisu Rolnego: zapewnienie bazy informacyjnej o gospodarstwach rolnych i związanych z nimi gospodarstwach domowych, koniecznej dla realizacji krajowej, regionalnej i lokalnej polityki rolnej i społecznej na wsi; dostarczenie informacji niezbędnych do planowania polityki żywnościowej, trendów hodowli zwierząt gospodarskich, struktury zasiewów upraw rolnych; analiza zmian jakie zaszły w rolnictwie na przestrzeni ostatnich 10 lat; wykonanie zobowiązań Polski w zakresie dostarczenia informacji na potrzeby organizacji międzynarodowych – EUROSTAT, FAO, OECD; aktualizacja statystycznego rejestru gospodarstw rolnych i przygotowanie operatów do pogłębionych badań reprezentacyjnych z zakresu rolnictwa w kolejnych latach.

Jakie pytania usłyszą rolnicy w trakcie spisu?

Dokładny zakres informacji zbieranych w PSR 2020 dostępny jest w załączniku nr 2 do ustawy z dnia 31 lipca 2019 r. o powszechnym spisie rolnym w 2020 r. (Dz.U. poz. 1728).

W spisie rolnym będą zbierane dane, dotyczące m.in.: osoby kierującej gospodarstwem rolnym; położenia gospodarstwa na obszarach o ograniczeniach naturalnych; osobowości prawnej; typu własności użytków rolnych; produkcji ekologicznej; rodzaju użytkowanych gruntów; powierzchni zasiewów według upraw; powierzchni nawadnianej; zużycia nawozów mineralnych i organicznych; pogłowia zwierząt gospodarskich według grup wiekowych; rodzaju budynków gospodarskich; liczby maszyn i urządzeń w gospodarstwie rolnym; wkładu pracy w gospodarstwo rolne użytkownika i członków jego gospodarstwa domowego oraz pracowników najemnych.

Kto podlega spisowi rolnemu?

Spis będzie prowadzony w gospodarstwach indywidualnych oraz w gospodarstwach rolnych osób prawnych i jednostek organizacyjnych niemających osobowości prawnej. W przypadku gospodarstw rolnych osób fizycznych (gospodarstwa indywidualne) spisem rolnym zostaną objęte wszystkie gospodarstwa rolne o powierzchni 1 ha użytków rolnych i więcej, a także gospodarstwa o powierzchni poniżej 1 ha użytków rolnych prowadzące działy specjalne produkcji rolnej lub produkcję rolną o następującej skali:

0,5 ha – dla plantacji drzew owocowych;
0,5 ha – dla krzewów owocowych;
0,5 ha – dla warzyw gruntowych;
0,5 ha – dla truskawek gruntowych;
0,5 ha – dla chmielii;
0,3 ha – dla szkółek sadowniczych;
0,3 ha – dla szkółek ozdobnych;
0,1 ha – dla tytoniu;
5 sztuk – dla bydła ogółem;
20 sztuk – dla świń ogółem;
5 sztuk – dla loch;
20 sztuk – dla owiec ogółem;
20 sztuk – dla kóz ogółem;
100 sztuk – dla drobiu ogółem;
10 sztuk – dla zwierząt dzikich utrzymywanych w warunkach fermowych.

Ogrody działkowe nie spełniają powyższych kryteriów, więc nie będą objęte spisem rolnym.

W jakiej formie zostanie przeprowadzony spis rolny?

Podstawową metodą realizacji spisu powszechnego będzie **samospis internetowy** – każdy rolnik będzie mógł dokonać spisu we własnym domu, na własnym urządzeniu mającym połączenie z Internetem, za

pośrednictwem interaktywnej aplikacji dostępnej na stronie internetowej Głównego Urzędu Statystycznego. Uzupełniając metodą udziału w spisie będzie wywiad telefoniczny (przeprowadzany przez rachmistrza telefonicznego) oraz wywiad bezpośredni (przeprowadzany przez rachmistrza terenowego, który odwiedzi gospodarstwo rolne pod warunkiem, że pozwoli na to sytuacja epidemiologiczna w kraju). Rolnicy nie posiadający w domu dostępu do Internetu będą mieli zapewniony dostęp do pomieszczeń wyposażonych w sprzęt komputerowy z dostępem do Internetu w lokalu gminnego biura spisowego.

Bezpieczeństwo danych:

Spisy, tak jak wszystkie prowadzone przez GUS badania statystyczne, realizowane są z zachowaniem wysokich standardów bezpieczeństwa, w oparciu o nowoczesne techniki teleinformatyczne. Narzędzia oraz procedury w zakresie bezpieczeństwa stosowane przez statystykę publiczną spełniają najwyższe standardy i zapewniają pełną ochronę gromadzonych informacji.

Osoby wykonujące prace spisowe są obowiązane do przestrzegania tajemnicy statystycznej. Przed przystąpieniem do pracy rachmistrzowie są pouczani o istocie tajemnicy statystycznej i sankcjach za jej niedotrzymanie. Następnie na ręce właściwego komisarza spisowego składają pismem przyrzeczenie następującej treści: „Przyrzekam, że będę wykonywać swoje prace na rzecz statystyki publicznej z całą rzetelnością, zgodnie z etyką zawodową statystyka, a poznane w czasie ich wykonywania dane jednostkowe zachowam w tajemnicy wobec osób trzecich.”

Dane pozyskane podczas spisów mogą być wykorzystywane wyłącznie do opracowań, zestawień i analiz statystycznych oraz do aktualizacji operatów do badań statystycznych prowadzonych przez służby statystyki publicznej. Udostępnianie lub wykorzystywanie danych uzyskanych w spisach dla innych niż podane celów jest zabronione, pod rygorem odpowiedzialności karnej.

Organizacja prac spisowych w gminach:

W gminie (mieście) pracami spisowymi kieruje wójt, burmistrz, prezydent miasta – jako gminny komisarz spisowy. Zastępcą gminnego komisarza spisowego jest osoba wyznaczona przez gminnego komisarza spisowego. Gmina (miasto) organizuje m.in. nabór kandydatów na rachmistrzów terenowych.

Naboru kandydatów dokonuje się spośród osób: pełnoletnich; zamieszkałych w danej gminie; posiadających co najmniej średnie wykształcenie; posługujących się językiem polskim w mowie i w piśmie; które nie były skazane za umyślne przestępstwo lub umyślne przestępstwo skarbowe.

Kandydaci na rachmistrzów przejdą szkolenie, które zakończy się egzaminem. Osoby, które odpowiedzą dobrze na co najmniej 60 proc. pytań, zostaną wpisane na listę kandydatów na rachmistrzów terenowych prowadzoną przez gminnego komisarza spisowego. Miejsce na liście zależy od liczby punktów z egzaminu – im więcej, tym lepiej. Rachmistrza terenowego powoła zastępca właściwego wojewódzkiego komisarza spisowego, czyli Dyrektor Urzędu Statystycznego spośród osób z najwyższą liczbą punktów z egzaminu.

Wynagrodzenie rachmistrza terenowego będzie iloczynem stawki 37 zł brutto i liczby przeprowadzonych bezpośrednich wywiadów z użytkownikiem gospodarstwa rolnego.

Kontakt:

Bieżące informacje o spisie rolnym dostępne są na stronie internetowej: spisrolny.gov.pl

Prosimy wszystkich rolników o przekazywanie informacji o spisie rolnym.

Spiszmy się, jak na rolników przystąpiło!

XII Festiwal Natchnieni Bieszczadem w Cisnej

Piątek 21.08

Dwie pąje
Góry i woda

21-22 sierpnia 2020

Akcja pomocy dla Dominiki Kluz

10:00 - Jarmark twórców i próby zespołów
13:00 - Występy bieszczadzkie bardów (Izzy Baryła Nowakowski, Ryszard Dendek „Bury”, Paweł Sikora, Krzysztof Karasiński, Adam Lypa Gliniewicz)
15:00 - Oficjalne otwarcie Festiwalu Natchnieni Bieszczadem
15:15 - Laureaci poprzedniej edycji Konkursu Piosenki (Marcel i Wiktor Kotuła, Kapela z przypadku)
16:00 - Konkurs wiedzy o Bieszczadach z nagrodami
16:30 - Ogłoszenie wyników konkursu Dźwiękosłowa

Koncerty zespołów
Jak, Leszek Kopec, De Press, Grzane Wino, Mechanicy Szanty

Sobota 22.08

10:00 - Jarmark bieszczadzki i próby zespołów
14:00 - Oficjalne otwarcie drugiego dnia Festiwalu
14:30 - Ogłoszenie wyników konkursów (piosenki, plastyczne i foto-bieszczady)
15:00 - Koncert laureatów konkursu piosenki
15:30 - Występy artystów (Piotr Łapdzic, Piosenki Caba, Piotr Rogala „Rogalik”)

Koncerty zespołów
Łemkowyna, Lech Dyblak, Żmieje, Agata Rymarowicz, U Studni, KSU i muzycy z Matragony

Namiot Natchnionych

Wykaz fotografów bieszczadzkiej okolicy
Czy lubimy się śmiać, śmiać się nie dość
Wzrosty i rośliność, fotograficzne motywy
Kolory Bieszczadów, fotograficzne motywy
Konkurs piosenki, fotograficzny
Wzrosty piosenki i fotografii Bieszczad
Szerokość Bieszczadów, Jan Sowa
Jubileusz 50-lecia pracy aktorskiej Marika Pyc



OGŁOSZENIA
DROBNE

OGŁOSZENIA
DROBNE

- * ZWROT PODATKU Z PRACY, RODZINNE, URLOPOWE (Niemcy, Austria, Norwegia, Anglia, Belgia, Holandia) tel. 663 712 920, e-mail: am.ferenc@wp.pl
- * Sprzedam las w Chwinowie koło Wojtkówki o pow.1,2 ha. Kontakt 602 126 944.606 713 909.
- * KUPIĘ bez pośredników działkę, dom do remontu lub domek letniskowy w bliskiej okolicy jeziora lub rzeki. Możliwość dożywotniego zasiedzenia po sprzedaży. Tel. 514-656-152
- * Szukam domu do wynajęcia. Okolice: Czarna, Lutowiska, Solina, Ustrzyki Dolne. Moze być do remontu. Tel. 608 116 680
- * Młode małżeństwo KUPI działkę w Bieszczadach tel. 501 207 447
- * Do wynajęcia dwa lokale o powierzchni 32m2 na pierwszym piętrze ul. Rynek 27/28 w Ustrzykach Dolnych na działalność gospodarczą, oraz o powierzchni 7m2 na działalności rzemieślniczą ul usługową na paterze w tym samym budynku. Tel. 516 608 617 / 13 471 18 9
- * STAJENNY do klubu jeździeckiego w Milanówku pod Warszawą. Mile widziane doświadczenie w pracy z końmi, umiejętność jazdy traktorem. tel.504 24 34 67
- * Sprzedam po okazjonalnej cenie 40 szt. pustaków Porotherm 25 P+W. Miejsce odbioru Ustrzyki Dolne. Tel. 606 250 394.

Redakcja: 29 Listopada 31,
38-700 Ustrzyki Dolne
www.bieszczadzka24.pl;
e-mail: redakcja@bieszczadzka24.pl
Tel. 461 13 22



Redaguje zespół:
Krzysztof Potaczala - redaktor naczelny (wydanie papierowe). E-mail: k.potaczala@bieszczadzka24.pl
Paulina Bajda - redaktor odpowiedzialna (portal internetowy, Facebook). E-mail: p.bajda@bieszczadzka24.pl
Adam Len - desktop publishing. E-mail: adam.len@wp.pl
Wydawca: Ustrzycki Dom Kultury, ul. 29 Listopada 31, 38-700 Ustrzyki Dolne, Tel. 13 461 13 22

Druk: Polska Press Sp. z o.o., oddział Poligrafia, drukarnia w Sosnowcu

Redakcja zastrzega sobie prawo redagowania tekstów dziennikarskich, ich skracania, opatrywania własnymi tytułami i śródtytułami, ilustrowania. Za treść ogłoszeń, reklam i listów redakcja nie odpowiada.



Jelenie lubią Ustrzyki



Fot. Andrzej Górski

Tę łanię z cielakiem nasz fotoreporter uwiecznił 1 sierpnia przy ulicy Kolejowej. Nie pierwszy raz dzika zwierzyna schodzi z lasu do miasta, żeruje na trawnikach i przy torach. Nie przejmują się przejeżdżającymi samochodami, coraz rzadziej boi się też ludzi. To niedobrze. Kilka miesięcy temu pisaliśmy w Gazecie, jak to łanie i byki przechadzają się po Ustrzykach – między blokami mieszkalnymi albo wzdłuż ulic. Skubią trawę, zlizują sól z jezdni i chodników, patrzą bez nadmiernego lęku na ludzi, a ci robią im zdjęć. Dzieci mają frajdę, dorosłym uśmiech nie schodzi z twarzy, ale tak naprawdę obecność leśnych gatunków w centrum miasta powinna martwić.

Prędzej czy później jakieś zwierzę zostanie potrącone przez rozpędzone auto, a wtedy szkody będą po obydwu stronach. Łanie z cielakami nie schodzą z lasu na chwilę, jak na przechadzkę. Pasą się godzinami, czego dowodem obserwacja grupy młodzieży, która jelenią mamę i jej dziecko podpatrzyła późnym popołudniem w tym samym miejscu, co wcześniej fotoreporter. Z pobliskich lasów na śniadania i kolacje przychodzą też lisy; brakuje jeszcze, żeby w ślad za nimi podążyły borsuki, niedźwiedzie i wilki. Te ostatnie wprawdzie czasami zaglądają do wiosek, lecz miasta raczej nie lubią. I oby tak zostało.

POT

KONKURS BIESZCZADZKIEGO PARKU NARODOWEGO



Fot. Ewa Bujalska

Ostańce piaskowcowe to siedlisko wielu rzadkich gatunków roślin wysokogórskich i naskalnych. Wystawione na działanie słońca i wiatru, rosną tam najbardziej odporne na niekorzystne warunki rośliny, takie jak np.: dzwonek wąskolistny (prezentujemy go na zdjęciu), przywrotnik siwy, macierzanka halna, rojnik górski, skalnica gronkowa, zawilec narcyzowy i inne. Zbiorowiska szczelin i pól skalnych mają charakter wysokogórski i naturalny,

posiadają najwyższą wartość przyrodniczą. Ich głównym zagrożeniem jest zmierzający ruch turystyczny w grzbietowych partiach połonin, gdzie turyści często schodzą ze szlaku, penetrując tutejsze skałki. Dlatego konieczne było objęcie tych niewielkich płatów roślinnych w Bieszczadzkim Parku Narodowym ochroną ścisłą. Z tej właśnie przyczyny wykluczono z ruchu turystycznego szczytowe partie np. ... (Do prawidłowej odpowiedzi wystarczy podać jeden ze szczytów.

Odpowiedź prosimy przysyłać wyłącznie mailowo na adres: konkurs@bieszczadzka24.pl do 13 sierpnia.

Spośród prawidłowo nadesłanych odpowiedzi rozlosujemy nagrodę, która będzie do odebrania w Ośrodku Edukacji Ekologicznej BdPN w Ustrzykach Dolnych lub po uzgodnieniu zostanie przesłana przesyłką pocztową. Prawidłowa odpowiedź zagadki z nr-13/2020 „GB” to: Parzydło leśne (Aruncus dioicus). Nagrodę wylosowała: Pani Weronika Gromala.

FHU ADAM AGD RTV
Ustrzyki Dolne, ul. 29 Listopada 26
tel. 13 461 29 39; 13 461 24 54

ZAPRASZAMY NA ZAKUPY

EFL
GRUPA CRÉDIT AGRICOLE

Wybierz nasz pomysł na leasing

PRZEDSTAWICIELSTWO W SANOKU
38-500 Sanok, ul. Orzeszkowej 5
tel. 13 464 22 64, 13 464 22 66

Bieszczadzkie kalendarium

16 sierpnia 1967 - Zakończył się XIV Ogólnopolski Rajd Przyjaźni zorganizowany dla uczczenia 50. rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i 20. rocznicy śmierci gen. Karola Świerczewskiego. Oprócz kilkuset polskich uczestników rajdu, głównie ze Szczecina, Warszawy i Katowic, w imprezie wzięli udział turyści ze Związku Radzieckiego i Jugosławii. Gwiazdasty zlot z ośmiu tras z Bieszczadów i Beskidu Niskiego zakończył się w Zagórzcu. Podczas rajdu odbyła się uroczystość przemianowania w Jabłonkach szczytu Woronikówka na Walter, który miał upamiętniać wydarzenia z marca 1947 roku.

W czasach PRL-u rajdy turystyczne organizowane przez PTTK lub inne organizacje społeczne miały często podłoże ideologiczne. Tak było między innymi z rajdami: walterowskimi, śladami kpt. Muchy, śladami kurierów beskidzkich. Dla większości „normalnych” turystów przesłanie ideologiczne nie miało znaczenia; liczył się wyznar turystyczny imprezy, możliwość wędrowki beskidzkimi szlakami i spotkanie się przy ognisku.

19 sierpnia 1967 - W Smolnicy na radzieckiej Ukrainie, miejscowości sąsiadującej z Krościenkiem, odbył się wiec przyjaźni. Wzięło w nim udział ponad 10 tysięcy mieszkańców terenów przygranicznych z Polski i ZSRR. Ze strony polskiej w wiecu uczestniczyła dwutysięczna delegacja z powiatu ustrzyckiego. Delegacja z Polski została przywitana przez gospodarzy z Rady Narodowej Staro Sambora chlebem i solą, a orkiestra dęta z Ośrodka Kopalni w Ustrzykach Dolnych odegrała hymny Związku Radzieckiego i Polski. Przewodnią ideą wiecu była 50. rocznica Rewolucji Październikowej. Przedstawiciele radzieckich władz partyjnych wręczyli przedstawicielom polskiej strony upominek – duży wykonany w drewnie portret Lenina. Z kolei I sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR w Ustrzykach przekazał stronie radzieckiej szklaną paterę z wygrawerowanym portretem Lenina oraz napisem – 50. rocznica Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, wiec przyjaźni Ustrzyki Dolne, Stary Sambor.

Wiec w Smolnicy był pewnego rodzaju przełamaniem stereotypów w kontaktach Polaków z obywatelami ZSRR. Granica przyjaźni, jak określano granicę między Polską a ZSRR, była przyjazna tylko z nazwy. Szczelna „sistiema” odgradzała skutecznie mieszkańców po obydwu stronach. O tym, jak się żyje narodom Polski i ZSRR, dowiedzieć się było można jedynie z Trybuny Ludu lub Prawdy. Stąd też fizyczne i na szeroką skalę spotkanie Polaków z „ludźmi radzieckimi” było ewenementem. Oprócz oficjalnych przemówień i wiecu imprezie towarzyszyły wydarzenia kulturalne, sportowe. Na scenie wystąpiły zespoły artystyczne z Polski i Ukrainy, rozegrano mecze w siatkówkę oraz piłkę nożną. Zupełnie już nieoficjalnie mieszkańcy obydwu powiatów zawiazały przyjaźnie, w czym bardzo pomogła polska „czysta” z czerwoną etykietą i popularna radziecka Stołeczna.

Sierpień 1985 - Drużynę harcerską im. Hanki Sawickiej z Baligrodu, OTL z Baligrodu oraz Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniewej w Lesku uhonorowano drugą nagrodą w konkursie „Pamięć narodu w hołdzie bohaterom II wojny światowej”, organizowanym przez Ministerstwo Administracji i Gospodarki Przemysłowej. Wyróżnienie przyznano za opiekę nad cmentarzem wojskowym.

Cmentarz w Baligrodzie jest miejscem spoczynku ponad 5 tysięcy żołnierzy sowieckich i polskich, którzy zginęli w Bieszczadach w trakcie II wojny światowej i po jej zakończeniu w latach 1945-47. Pierwsze pochówki to ofiary konfliktu polsko-ukraińskiego. Na nekropolii spoczywają żołnierze polscy walczący z UPA. W pierwszej połowie lat 50. dokonano ekshumacji szczątków żołnierzy sowieckich, pochowanych wcześniej na cmentarzach komunalnych lub w innych miejscach i przeniesiono je na urządzone wojskowy cmentarz w Baligrodzie. Do dzisiaj jest przykładem humanitarnego podejścia do miejsc pochówku, bez względu na ocenę polityczną działalności wojsk sowieckich w trakcie i po zakończeniu wojny.

Sierpień 1995 - W gminie Czarna zanotowano wzmogłą zachorowalność na żółtaczkę. W ciągu kilkunastu dni w pierwszej połowie miesiąca stwierdzono 11 przypadków tej groźnej choroby. Stwierdzono również zachorowania rodzinne. Wstępne rozeznanie wykazało, że źródłem choroby mogła być woda z wiejskiego wodociągu.

Na szczęście przebieg malej epidemii żółtaczki w Czarnej udało się opanować. Nie powtórzyła się sytuacja z Ustrzyk z roku 1976, kiedy to żółtaczka położyła kilkaset mieszkańców miasta i okolic. Liczba chorych była tak duża, że umieszczano ich w urzędowym naprędcie szpitalu w barakach Ochotniczych Hufców Pracy. W cięższych przypadkach trafiali do szpitala w Sanoku.

Oprac.: /ela/